Nr. 31. Poznań, dnia 4 Sierpnia 1907 r.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 1,5 z odnoszeniem do domu . . 1,6 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1868. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Projekt wywłaszczenia.

Sprawa ta od początku roku 1906 nie schodzi z porządku dziennego. Drugi to więc już rok, jak zaprzątą ona naszą opinię publiczną i jak zaćmiewa horyzont przyszłości naszej czarnemi chmurami.

Projekt wywłaszczenia jest niewątpliwie pomysłem rządu pruskiego, lansowanym za pośrednictwem pism hakatystycznych przed forum opinii niemieckiej.

To forum opinii niemieckiej w tej sprawie wykazuje większy rozłam aniżeli w sprawie poprzednich antypolskich projektów.

Opinia niemiecka otrzaskała się co prawda z prawami wyjątkowemi, uchwalanemi na krzywdę Polaków. Dzieliła się ona atoli zasadniczo co do zapatrywania na ich skuteczność.

Część opinii niemieckiej w zaraniu ery wyjątkowych praw antypolskich była zasadniczo prawom tym przeciwną. Uznawała ona *w obrębie państwa pruskiego* zasadę *równouprawnienia obywateli pruskich wobec praw państwowych* — bez względu na ich język.

Pojęcie tego „równouprawnienia“ powoli się zmieniło. Chciano i w części chce się dziś jeszcze uznać nas za równych obywateli pod warunkiem zrzeczenia się t. zw. wielkopolskich naszych dążności. Tu zaczyna już odgrywać rolę kłamstwo i perfidya polityczna.

Robi się nam zarzut, że chcemy rozbić państwo pruskie i Rzeszę niemiecką, że chcemy oderwać dzielnice polskie od Prus, robi się z nas *wrogów wewnątrz państwa*, i pomimo braku wszelkich na te twierdzenia faktycznych dowodów — na podstawie tych zarzutów tłomaczy i usprawiedliwia się urzędowo i nieurzędowo konieczność i potrzebę praw wyjątkowych.

Oczywiście — wróg wewnętrzny czy zewnętrzny nie zasługuje na żadne względy, musi być pognębiony.

I dziś w sprawach polskich opinia niemiecka — pomimo zaprzeczeń — uznaje za dobrą i potrzebną, przedewszystkiem za patryotyczno-niemiecką dążność do germanizacyi żywiołu polskiego.

Różnica zdań pod tym względem istnieje tylko co do środków. Jedni powiadają, że trzeba germanizacyi dokonać za pomocą praw wyjątkowych, inni, że trzeba tego dokonać przez podniesienie nas do poziomu kultury niemieckiej, przez budzenie w nas potrzeby i ochoty do korzystania z tej kultury. Jednakże praw wyjątkowych przez obawę przed zarzutem braku patryotyzmu dziś prócz socyalistów i niewielkiego odłamu Niemców-katolików — stanowczo nikt już nie potępia.

Mówimy tutaj o opinii wśród narodu niemieckiego. W życiu konstytucyjno-parlamentarnem i centrum i socyaliści i kilka mniejszych wolnomyślnych partyi dotrzymuje jeszcze wierności — nie możemy powiedzieć obrony sprawy polskiej — ale głosowania razem z Polakami przeciwko antypolskim projektom.

Tak było już co do uchwały komisyi kolonizacyjnej i co do noweli osadniczej. Dziś fizyonomia polityki antypolskiej nieco odrębne przyjęła kształty. Chodzi też istotnie o rzecz nie lada. Chodzi o wyrugowanie nas z ziemi, chodzi o pozbawienie Polaków prawa do ich ziemi.

Dla czegóż to taka rzecz nie lada?

Prawo własności uważane jest od wieku przeszło jako największa zdobycz cywilizacyi. Toż żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają czasy poddaństwa w Europie. Chłopi we wszystkich nieomal krajach nie mieli prawa własności. Żyli i pracowali na roli, pokolenie następowało po pokoleniu, ale ziemia nie należała do tych, co ją potem i trudem użyźniali, lecz do niewielu możnych tego świata.

Uwłaszczenie włościan kosztowało dużo krwi — ale historya uznała je za najpiękniejszy czyn dziewiętnastego wieku.

Zakres własności więc rozszerzono. I taką była dążność przeszłego wieku. Stworzono hasło o potrzebie wytworzenia zdrowego, silnego, miennego stanu mało- i średniorolnego. Cała parcelacya ku temu zmierzała. A budowała na tem, że to, co historya uznała za nietykalne, co zdobyte zostało krwią, że *prawo własności pozostanie nienaruszone.*

Zasadę tę wyznawały t. zw. sfery konserwatywne przedewszystkiem. Umiały one najlepiej cenić prawo własności, choćby dla tego, że same od najdawniejszych wieków prawo to sobie wywalczyły.

Uznawał prawo własności także rząd pruski.

Uznawał je, kiedy zabierał część swoją przy rozbiorze Polski, wtenczas kiedy po upadku Napoleona część W. Ks. Warszawskiego wróciła ponownie pod jego panowanie, wtenczas kiedy w r. 1830/31 tysiące jego poddanych polskich zaciągnęło się w szeregi powstańcze, by bronić wolności Król. Polskiego, wtenczas nawet gdy w r. 1848 w jego własnych granicach wybuchło powstanie. Uznawał je nawet w r. 1863.

Dziś atoli sam usiłuje przeprowadzić projekt zadający kłam dawnemu jego postępowaniu, zadający kłam uznanym przez historyę kłam zadający zagwarantowanym słowem i przysięgą królewską — prawom konstytucyjnym, nadanym i uświęconym przez rząd sam.

Że rząd zadaje tutaj gwałt historyi, to zrozumieli nawet *konserwatyści pru-*

scy, którzy w ub. sesyi sejmu pruskiego projekt wywłaszczenia Polaków stanowczo odrzucili. Mniejsza o to z jakich względów — toż faktem jest, że przy poprzednich projektach antypolskich tych skrupułów nie okazywali. Co najwyżej stawiali kwestyę: czy to nie zawcześnie?

Z punktu widzenia historyi projekt wywłaszczenia Polaków jest objawem barbarzyńskiego nieomal wstecznictwa tych sfer, z których koła projekt ten wyszedł, z punktu widzenia nawet rządu pruskiego jest on straszliwem pogwałceniem własnej kraju pruskiego konstytucyi — a z punktu widzenia polskiego jest on krzywdą tak niesłychaną, że na myśl o niej zamierają słowa na ustach — a tylko uczucia burzą się przeciwko niej.

Cóż my przeciwko temu projektowi zrobić możemy?

Dziś zdaje się nie ulegać już wątpliwości, że projekt ten zawita do przyszłej sesyi sejmowej. Pisma blisko stojące rządowi donoszą o tem, że partya konserwatywna zgodziła się na projekt wywłaszczenia, i że uczyniła to prawdopodobnie za cenę gwarancyi, że obecne ceny za ziemię w dzielnicy naszej zostaną podtrzymane. Na prawo protestu przeciwko sprzedaży (Einspruchsrecht) konserwatyści się nie zgodzili.

Wobec tego pojawił się projekt w pismach naszych, ażeby poruszyć *opinię europejską* ze strony polskiej przeciw wywłaszczeniu. Uważamy myśl tę za wręcz poronioną. Jeszcze nam nigdy i w niczem Europa nie pomogła. — Nam też pewnie nie pomoże. Mamy świeży dowód w sprawie strejku szkolnego.

W tej kwestyi stanowisko nasze jest takie. Niemcy od czasu do czasu podają w prasie zagranicznej kłamliwe o nas wieści. Otóż te wieści prostować, informować opinię europejską o prawdziwym stanie rzeczy u nas, to uważamy za słuszne, sprawiedliwe i pożyteczne. Ale na tem też koniec. My Europy przeciwko Niemcom nie poruszymy do żadnej akcyi, przedewszystkiem do żadnej akcyi *na naszą korzyść!* Nawet idziemy dalej. Europa możeby chciała wygrać nas jako atut przeciwko Niemcom. Tego powinniśmy się strzedz, bo w danym razie Europa nas się na pewno wyprze.

Był inny projekt, ażeby poruszyć naszą opinię. Może wiece zwoływać w tej sprawie — nowe „Straże" zakładać? co?...

Mieliśmy już tyle wieców protestujących — i co pomogły!! My, przyznamy się szczerze, że wolelibyśmy, ażeby ludność polska przyjęła z głuchem milczeniem wszystkie te projekty, z tem milczeniem, które jest złowrogim pomrukiem przytłumionej wściekłości, które jest pogardą — bo my dziś pogardą tylko odpłacać możemy krzywdy nasze.

To wzgardliwe milczenie ciemięzcom naszym ciężej zaciąży na sumieniu aniżeli najgłośniejsze, najuroczystsze protesty. Wszakże Chrószcz pod Pszowem na G. Śląsku milczał, cierpiał, a gdy granica cierpliwości jego się przebrała, wiemy dobrze wszyscy co zrobił.

Nie chcielibyśmy w złą godzinę przypominać tego strasznego wypadku. Lecz to pewna, że rząd z głośnych, uroczystych i papierowych protestów naszych nic albo bardzo nie wiele sobie robi.

To też raczej zaniechajmy ich. Zdajmy sobie przecież sprawę z tego, że na wywłaszczenie trzeba funduszy. Pruskie fundusze mają atoli tyle upustów — wojsko, marynarka, urzędnicy i inne nieprzewidziane wydatki jak n. p. na rozszerzanie i obronę kolonii zamorskich, że od razu nas wywłaszczyć nie zdołają. Toż 450 milionów wystarczyło na 20 lat. A myśmy nie zmarnieli. Dziś 450 mil. przy znacznie wyższych cenach na dwadzieścia lat nie wystarczą, kieszeń pruska się wyczerpie — i znów będzie fiasko. A niechże w Niemczech

---

Złote ziarna.

Z „Złotych ziarn," wydanych niedawno przez prof. K. Kozłowskiego w Poznaniu wybieramy na chybił trafił następujące zdania i myśli, wypowiedziane przez polskich pisarzy:

„Jeźli umiesz czytać, ażaż to nie rozkosz czas sobie upatrzywszy, nad książkami posiedzieć, prawa i powinności się swej dowiedzieć. Nie trzeba będzie wielkiego nakładu: zbiegasz wszystek świat lekkim kosztem, tuż na miejscu siedząc, tak jakobyś tam wszędzie oczywiście był, a jakobyś wszystko widział.

Mikołaj Rej.

„Nie chowajże rozumu, jeślić go Pan Bóg dał, jako czyża w klatce, ale się staraj, abyć zakwitnął pięknemi sprawami a obyczajami swojemi, aby naprzód Pan Twój, który cię stworzył, cześć a chwałę z ciebie miał, przyjaciele radość, a pociechę, a ty też zasię poczciwość a sławę."

Mikołaj Rej.

„Dwie rzeczy człowieka szlachcą: obyczaje i rozum. Obyczaje z cnót pochodzą, a rozum z nauki: obiedwie rzeczy w sobie mieć, rzecz nieprzepłacona człowiekowi. Ale jeśli przy jednej tylko masz zostać, raczej przy cnocie niż przy nauce zostań; bo nauka bez cnoty jako miecz u szalonego, i sobie i ludziom szkodzi; cnota choć dobrze sama będzie, chwalebna jest i pożyteczna...."

Jan Kochanowski.

„Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
„Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
„Nie spali ogień, nie zabierze woda,
„Nad wszystkiem innem panuje przygoda...."

Tenże.

„Nie przepłacona rzecz jest rozum, choć będzie czasem w słabem a w ułomnem ciele; bo radą swoją więcej pomódz może, niżli największa głupia moc."

„Zaprawdę, jako słońce światłość swoją traci, gdy za chmurę zajdzie, tak rozum ludzki od zbytków tępieje."

Tenże.

„Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
„Ku *powszechnemu dobru* niechaj dopomoże."

Tenże.

„Prawdziwa wolność nie należy w swawolności czynienia, co się podoba, ani w zbytniej foldze praw przeciwko tym, którzy się występków dopuścili, ale należy w pohamowaniu ślepych a upornych i skwapliwych popędliwości serdecznych, a w rządzeniu rozumem.

Andrzej Frycz Modrzewski.

„Gdy wiek obecny dumą, nieszczerością, miękkością i pieniactwem od lat kilkudziesiąt skażony, nie daje nam wiele żyjących wzorów do cnót obywatelskich, szukać ich należy w przysutych mogiłami kościach. Może się to na co kiedy przyda. Umarli mogą prawdę mówić bez bojaźni — żyjący jej słuchać bez urazy."

Adam Naruszewicz.

„Tylko użyteczność stanowi między ludźmi różnicę."

Stanisław Staszyc.

„Kto krok czyni ku dobremu, już ma zasługę, bo ośmiela następców, bo wskazał przykład."

Tadeusz Czacki.

„Są rzeczy, których żadna nie przeprze ustawa,
„Bo wyżej praw ludzkich stoją Boże prawa."

Kantorbery Tymowski.

nastąpi kryzys w przemyśle lub jaka inna nieprzewidziana przeszkoda, to i to nam pomoże.

Projekt sam jest niewątpliwie podły, najpodlejszy z dotychczasowych antypolskich projektów i praw, ale — od projektu, a nawet od uchwalenia samej ustawy do przeprowadzenia jej w całej pełni jest droga bardzo daleka!

Sokoli w Ameryce.

„Sokół" polski w Ameryce istnieje lat prawie 25. Pierwsze towarzystwo powstało w Chicago, jako Sokół nr. 1, gdyż tam wszystko się numeruje. Wkrótce potem powstało kilka towarzystw samodzielnych, ale wiodły one wszystkie żywot suchotniczy, brakowało im bowiem wielu rzeczy potrzebnych i koniecznych do prowadzenia takich stowarzyszeń, od kierowników technicznych poczynając, a na zasobach pieniężych kończąc. Nie można przemilczeć i tego, że brakło najważniejszego bodźca w działaniu, t. j. należytego zrozumienia celów i potrzeby takich towarzystw. Młodzież garnęła się chętniej w szeregi różnych stowarzyszeń zakładanych na wzór wojskowych kadrów, bo dawały one im w zamian za przynależność jakiś barwny strój, nie rzadko pomoc materyalną za niedużą opłatą, dawały możność swobodnych niczem nieskrępowanych zabaw i rozrywek, a nie ciążyły nad umysłami koniecznością jakichś poważnych myśli. „Sokół" zaś wymagał stałych wysiłków fizycznych, wdrażał do obowiązkowości, mówił o potrzebie bezinteresownej służby publicznej, co wszystko trzeba było wtłaczać w umysły nie oswojone ze zajmowaniem się takiemi myślami. Mimo tego wszystkiego towarzystwa Sokole istnieją i chociaż słabo żyją życiem wewnętrznem, odbywają popisy publiczne, a nawet dochodzi do skutku „Związek Sokołów".

Zwrot ku lepszemu nastąpił dopiero wtedy, gdy „Związek Sokołów" połączył się ze „Związkiem narodowym polskim", organizacyą silną, liczącą dziś do 90.000 członków, opartą o duże już podstawy ekonomiczne, mającą zatem i środki do przeprowadzenia swych zamiarów i należyte zrozumienie swych celów. To też Związek Sokoli uzyskał wnet stałego naczelnika związkowego, zawodowo wykształconego nauczyciela, który prowadzi kursy gimnastyczne i wychowuje zastępy kierowników gimnastycznych, który objeżdża poszczególne towarzystwa, dając wskazówki i prostując popełniane bezwiednie błędy.

Dzisiaj ma Związek stałego płatnego sekretarza, który pilnuje znowu strony administracyjnej towarzystw, ma stałą rubrykę w organie Związku narodowego polskiego chicagowskiej „Zgodzie" i po zlocie odbytym przed dwoma laty w Chicago już pod egidą Z. N. P., który dał obraz słabości organizacyi dotychczasowej, zaczęła się budowa prawie na nowo. A prowadzą ją kierownicy tej instytucyi z wytężeniem i energią, bo „Zgoda" w jednym ze swych ostatnich numerów zarejestrowała 89 towarzystw z 4.400 członków, rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, zgrupowanych w pięć okręgów. Związek Sokoli, posiadający osobną kasę, ma w zapasie 2.000 dolarów. Podatek związkowy zapłaciło 2.628 członków w zupełności. Z 89 gniazd, 16 jest jednak nieczynnych. Naczelnik związkowy zlustrował wszystkie czynne gniazda i znalazł w nich 824 członków ćwiczących, zatem procent stosunkowo nienajgorszy.

„Związek Sokoli" postanowił po dwu latach przypatrzeć się skutkom swej wytężającej pracy organizacyjnej i zwołał wraz ze zjazdem delegatów ogólny zlot.

Zjazd ten odbył się od 4 do 6 lipca w Detroit stolicy stanu Michigan. Na ogół wypadł słabo, co przyznają wszystkie nawet przychylnie usposobione dla Sokoła i Z. N. P. polskie pisma amerykańskie. Tłumaczą to tem, że

„Za zepsutym językiem, tak jak cień za ciałem, idzie konieczny upadek smaku, nauk i oświecenia.

Jan Śniadecki.

„Zwodnicze są te zdania, choć pozór ich ludzi,
„Że bogactwo jest szczęściem narodów i ludzi;
„Zaprzeczają im ludów i krajów dowody:
„Nie masz cnót bez mierności — a bez cnót swobody."

Kajetan Koźmian.

„Równo prawdą jak fałszem można przejść świat cały, ale prawdą można wrócić, a fałszem nie."

Alojzy Żółkowski.

„Żyj ojczyźnie, przyjaciołom
„Oddadzą cześć twym popiołom."

Kazimierz Brodziński.

„Myśleć i czuć głęboko nie możemy wszyscy, ale staraniem naszem być powinno: myśleć porządnie i czuć zdrowo."

Kaz. Brodziński.

„Zapomnij błędów bliźnich, gdy jesteś z bliźniemi;
„A kiedy sam zostaniesz — rozmyślaj nad twemi."

Franciszek Morawski.

„W słowach tylko chęć widzim, *w działaniu potęgę*
„Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę."

Adam Mickiewicz.

„Klątwa ludom, co swoje mordują proroki."

Adam Mickiewicz.

„Po tem wyższego męża można poznać w tłumie,
„Że on zawsze to tylko zwykł robić, co umie."

Adam Mickiewicz.

„Miejcie nadzieję, bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych."

Juliusz Słowacki.

„Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
„Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
„Od której nerwy w człowieku nie miękną,
„Ale się staną niby harfą strojną,
„I bite pieśnią zapału — nie pękną!"

Jul. Słowacki.

„Zmartwychwstaje się z pod gromu,
„Nie zmartwychwstaje się z pod sromu."

Zygmunt Krasiński.

„Nic nie spychać nigdy w dół,
„Lecz do coraz wyższych kół,
„Iść przez drugich podnoszenie.
„Tak Bóg czyni we wszechświecie,
„Bo cel światów — szlachetnienie."

Zyg. Krasiński.

„Młodość jest rzeźbiarką,
„Co wykuwa żywot cały,
„Choć upływa sama szparko,
„Cios jej dłuta — wiecznotrwały."

Zyg. Krasiński.

„Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich znieważcę."

Antoni Malczewski.

„Męzki czyn iść do sławy przez ogień kartaczy,
„Lecz uciec od rozkoszy większe męstwo znaczy."

Antoni Gorecki.

„Matki i ojcowie! dzieci wasze są tem czem je mieć chcecie."

Klementyna Hoffmannowa.

wielu chętnych uczesników wstrzymała w domu kosztowna podróż do Detroit położonego na samym krańcu Stanów Zjednoczonych. Sądząc jednak z licznych artykułów pism wrogo usposobionych do Zw. N. P. jak np. „Dziennika Chicagowskiego“, dużo się do niezupełnego udania tego zjazdu przyczyniła naganka prowadzona przez te pisma przeciw Sokołowi mimo ciągłych zapewnień o wielkiej życzliwości dla niego. Sprawozdanie np. „Dziennika Chicagowskiego“, pisane w dodatku na niewidziane, jest tak perfidne i kłamliwe, że każdego czytającego je uderzy w niem zła wola i kłamstwo. Pisze np. ten „sprawozdawca“, że widział w kraju zjazdy sokole 8—10 tysięczne! Chce przez to uwydatnić marność zjazdu detroickiego, którego krótki obraz chcemy podać na podstawie pism polskich, przychylnych Sokołowi i Z. N. P. właśnie dlatego, aby wykazać, że kierownicy tych instytucyi zdają sobie jasno sprawę z istotnego stanu rzeczy i właśnie dlatego mają gwarancyę, że powierzone sobie towarzystwa, mające bardzo doniosłe znaczenie dla przyszłości tamtejszej Polonii, poprowadzą pomyślnie do należytego rozwoju.

Sokołów samych zjechało się do sześciuset, z czego przepisany tam strój miało na sobie do 250. W dniu 4 lipca zebrali się wszyscy Polacy, oczekując pociągu z Chicago, wiozącego wycieczkę z południa wraz ze starszyzną Z. N. P. i Z. S. Po ustawieniu się do pochodu, w którym wzięły prócz Sokołów udział „towarzystwa rycerskie“ w sile około pół tysiąca, liczne grupy Z. N. P., wozy tryumfalne, liczne stowarzyszenia kościelne i towarzystwa sokole żeńskie z Detroit i Cleveland, ruszyła ta cała impoująca liczbą masa do parku Athletic-Clubu, gdzie miały się rozpocząć uroczystości. Pochód ten był witany entuzyastycznie.

„A witają nas nietylko Polacy! — pisze chicagowski „Dziennik Narodowy“ — wita ludność całego miasta oklaskami i okrzykami.

Kolumna sokola, karna, równa, wielkie robi wrażenie. Poprzedza ją sztandar Związku Sokołów w otoczeniu członków wydziału i 30 innych druhów w szarych mundurach, *tworząc krzyż*, z którego punktu środkowego wystrzela nasz znak związkowy.

Sokolstwo polskie w Ameryce dokumentuje tu tradycyjne przekonania zakonu narodowego.

Tylko czoła pochodu naszego nie zdobią ci, których tak gorąco między sobą widzieć pragnęliśmy.

Nie widać piór sokolich u czapek, niema Sokołów z Polski! Na próżno oglądali się i Sokoli i wszyscy goście i wszyscy Polacy z Detroit za nimi.

Nie przyjechali!... Nie przyjechali, powtarza jeden drugiemu i smutek tem większy ogarnia dusze im więcej i goręcej widzieć i uścisnąć ich pragnęły serca sokole“. I naprawdę nie dobrze się stało, że nikogo od nas tam nie było! Stało się nie dobrze, choćby dla tego, że Zmartwychwstańcy w „Dzienniku Chicagowskim“ zaraz ukuli z tego argument przeciw Sokołowi, posądzając go o umyślne rozpuszczanie nieprawdziwej wieści o gościach z kraju „na wabia“. Nie pomogło na to nawet ogłoszenie pisma z usprawiedliwieniem, przesłanego przez nasz związek. W przyszłości musimy więcej pamiętać o Amerykanach!

Po ustawieniu się całego pochodu w parku, rozpoczęły się powitania. Przemawiali najpierw prezes gniazda miejscowego nr. 31 druh L. Kościński, potem prezes Związku Sokołów druh Bolesław Zalewski, prezes Związku Narodowego Polskiego M. B. Stęczyński i major miasta Detroit, W. R. Thompson.

Punktem kulminacyjnym uroczystości było przemówienie ks. Rzadkowolskiego, proboszcza parafii św. Józafata, tego samego kapłana, który miał na tem miejscu odprawić Mszę św. polową. Przybył w towarzystwie

---

„Kto wzrósł w serca nawalnicach,
„Temu nie straszne są gromy.“

Seweryn Goszczyński.

„Praca jest twierdza, która nie dopuszcza
„By niecne sprawy i złych myśli tłuszcza
„Mogły się wedrzeć do naszego łona.
„Praca to ziemia jest błogosławiona,
„Łaska ją Boża oświeca i zrasza,
„I tylko na niej kwitnie cnota nasza.“

Ks. Ignacy Hołowiński.

„Nie mądry, kto wśród drogi
„Z przestrachu traci męstwo;
„Im większe ciernie, głogi,
„Tem większe jest zwycięstwo.“

J. N. Komiński.

„Za prawdziwą oświatą idą uczucia honoru, przyzwoitości, trzymania swych żądz w pewnych karbach, szanowanie cudzych praw; idzie obyczajność, która wszystko ułatwia, idzie moralność, która wielką jest pomocą prawdziwej religii, — a wszystko to jest spójnią towarzyskiego porządku i podwaliną szczęścia kraju.“

Józef Gołuchowski.

„Ci co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś co pogardzają i poniewierają nim, a nawet zatracają go w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary przelewali, — a stokroć bardziej zaślepieni niż tamci, bo na sobie i na własnem potomstwie dokonywują tego prześladowania.

Karol Libelt.

„Nie uginaj czoła poczciwego przed majątkiem, ani przed tytułem, ani przed urodzeniem, — bo czasy pogaństwa, w których kloce i kamienie czczono, minęły; ale schyl czoło przed zasługą, bo w zasłudze obecny jest duch Boży, i błogosławieństwo jego na cię stąpi.

Karol Libelt.

„Samolubstwo odwraca się od wszystkiego i patrzy samo w siebie, dla tego też tak biedne, tak litości godne. Każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, a o tyle bogatszy, o ile kocha.“

Józef Kremer.

„Cierpienie pali i oświeca: ono jest tym ogniem, który gorejąc wewnątrz, rozrzuca na oblicza jakiś blask godności, wzbudzający mimowolne uszanowanie.“

Kazimierz Kaszewski.

„Słabi tylko giną w objęciach przeciwności, silni się karmią u jej piersi.“
„Nie godzi się umierać duchem, gdy żyjemy ciałem.“

J. I. Kraszewski.

„Tak narody całe jak i poszczególni ludzie, przez rozmiłowanie się zbytnie w samych sobie, dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym góruje nad innemi.“

„Ze wszystkich prawd społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą i rozwój moralności.“

Henryk Sienkiewicz.

„Nie kocha swej ojczyzny ten, kto którąkolwiek częścią narodu swego gardzi.“

Eliza Orzeszkowa.

(Ze „Złotych ziarn.“)



sześciu innych zacnych duszpasterzy i nie mogąc wobec zakazu władzy swej spełnić Bezkrwawej Ofiary, rozpoczął Zlot mową-modlitwą — mową porywającą wszystkie serca, mową prawdziwie polską, prawdziwie obywatelską!

Po odśpiewaniu pieśni „Boże coś Polskę" przez wszystkich zgromadzonych, rozeszły się tłumy do domów, a Sokoli zostali na próbę ćwiczeń. Stanęło ich 200, jak już powiedzieliśmy. Nie wiele, spodziewano się więcej, ale ci, co stanęli, okazali znaczne wyrobienie gimnastyczne i to było właśnie kierownikom niejaką pociechą w do-znanym zawodzie. Ćwiczyły następnie sokolice z Detroit — tworzą one tam osobne grupy, doskonale przygotowane przez swego naczelnika. Strój ich stanowi szara sukienka po kostki z amarantową szarfą, biała bluska i kapelusiki wojskowe z podgiętą a la Roosevelt kresą.

Popołudniu dnia tego odbyły się ćwiczenia publiczne, które wypadły na ogół dobrze. Entuzyazm wywołały ćwiczenia pań, które pierwszy raz produkowały się publicznie. Prócz ćwiczeń wolnych, przerabiali Sokoli ćwiczenia na przyrządach, a nadto odbyli zawody w podnoszeniu ciężarów, w skoku z ciężarkami, w dal, o tyczce, biegu i rzucaniu ciężarem. Niektóre wyniki są wcale ładne. Skok w dal najlepszy wynosił 6 metrów 46 cm. (18 stóp i 6 i pół cala). W podnoszeniu ciężarów miano pobić rekord światowy, bo Sokół z Town of Lake podniósł 80 funtów (36 kg.) 60 razy. Nie podano tylko rodzaju podnoszenia. Ciężar stanowiła sztaba żelazna.

Po ćwiczeniach nastąpiła wielka zabawa ludowa w Electric Parku, gdzie obcych zachwycił mazur odtańczony w 20 par przez dzieci po krakowsku ubrane, nadto wieczór połączony z ćwiczeniami pań, które prócz ćwiczeń wolnych obrazowych, przerabianych, na boisku, produkowały się ćwiczeniami z tamburinami i ćwiczeniami wojskowemi.

Drugi i trzeci dzień zajęły obrady sejmowe, przeplatane różnemi zabawami.

Na zakończenie podajemy za „Dzienniku Polskim" z Detroit tę część przemówienia majora miasta p. Thompsona, witającego zjazd sokoli, która chlubnie świadczy o naszej polonii amerykańskiej:

„Wielki mnie spotkał honor — mówił p. Thompson — że zostałem przez was zaproszony na ten zlot wszechsokoli. Zaproszenie wasze chętnie przyjąłem. Miasto szczyci się Polakami, których liczba dochodzi do 70 tysięcy. Miasto nasze ma śliczne ulice i parki, dlatego też jest jednem z najodpowiedniejszych miejsc na wszelkiego rodzaju konwencye. Polacy, zamieszkali w naszem mieście są nietylko dobrymi przemysłowcami. Życzę wam tego przemysłu i postępu z głębi serca. Gdy pewien przybysz nie znający stosunków naszego miasta zapytał mnie się niedawno, czy mamy jakich obconarodowców w naszem mieście, odpowiedziałem mu, że tak i to jeszcze jakich obywateli! Pójdź ze mną, mówiłem mu, na ulicę Canfield i inne, a pokażę ci ich. Polacy tutejsi są najwięcej postępowymi obywatelami obconarodowymi w Detroit."

„Mają najpiękniejsze kościoły i szkoły, mają przeróżne zakłady handlowe, któremi się bezustannie przyczyniają do wzrostu i rozwoju naszego miasta. Jednem słowem, miasto Detroit, a z niem i ja, może się szczycić swoimi obywatelami Polakami".

Ta publiczna pochwała zaszczyt przynosi naszym rodakom.

Germanizacya szkół polskich

na Śląsku austryackim.

Cieszyn, 28. lipca 1907.

Na Śląsku austryackim wre. Wszczął się ruch niezdrowy, spowodowany przez naszych wrogów, a kierowany przez zdrajców Polaków — któ-

Joachim Lelewel.

(Ciąg dalszy).

I tak szlachetny tułacz polski uczynił. Tak długo szukał, mozolił się, starał się, dowiadywał, aż znalazł z dalszej rodziny osobę i tej cały majątek oddał. Są to rysy dowodzące wyraźnie, iż Lelewel nietylko jako historyk był wielkim w charakterze, ale też jako człowiek był niezwykłą jednostką. Zdaje się to rzecz piękna żyć wśród cichej pracy i mieć skromne wymagania, ale w wykonaniu nie idzie to łatwo. Ludzie mają wrodzony pociąg do pragnień rozmaitych, lecz najczęściej szukają wygody, wypoczynku i małych trudów.

U Lelewela zawsze jest przeciwnie. On żyje dla pracy, a dla siebie nie szuka ani wygody, ani wypoczynku, ani dostatku.

Zapraszano uczonego historyka bardzo często w odwiedziny, ale on nigdy nie miał czasu na zabawy i rozrywki.

Raz jeden zdarzyło się, iż się wybrał do jednego z przyjaciół w odwiedziny i wyszedł za miasto.

A tam — zaaresztowano go na drodze. Myślano bowiem, że to jakiś ubogi człek, jakiś włóczęga bez zajęcia.

Tak się niezabawnie skończyła wizyta uczonego historyka.

W roku 1857, już był Lelewel siwowłosym starcem, lecz myśl i duch jego jeszcze nie straciły siły i świeżości.

Nie ustawał też on w pracy, a dzieła jego zjednywały mu coraz większą sławę.

Znachodzili się jednak ludzie, którzy czasem stawiali pytania Lelewelowi, dlaczego tego jeszcze nie napisał, dlaczego jeszcze tamtego nie zbadał dobrze.

Na podobne uwagi lub zarzuty, napisał Lelewel jakoby rodzaj swego pamiętnika, w którym opowiada jak pracował.

Pisze on tak:

— Od pięćdziesięciu i sześćdziesięciu lat gryzmoliłem i zrzędziłem, rozpatrując chronologię, genealogię, geografię, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje w powszechności i osobne Litwy i Rusi i narodów, dzieje kultury i piśmiennictwa, bibliotek, druku, historyków, geografów, bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce, budowy, herby, pieczęcie, dyplomata, pismo, ubiory, obyczaje i zabytki starożytne. Z tem, co z tego dorywczo w druk szło, mało kto się oswoił, mało kto o tem wiedział. Sprawiłem się pospolicie niepowabnie, niepoczytnie. Nic dziwnego tedy, że powszechnie inni dowiadywali się odgłosem, że jest coś, czego nie widzieli sami, a wyobrażali sobie kiedy owo coś tak głośne, w wymiarach wielkich trzeba o nie wypytywać. Zdarzyło się tedy, uprzejmie odwiedzający gość pochlebnie wspomina o swych pracach. Gdybyć na tem przestał zagajeniu, gładkoby poszło, bo skromny autor zwykle w inną stronę rozmowę zwraca. Ale gość chwali, wzywa do objaśnień, plączą się słówka z mętnego octu wysuwają się oczka autorskiej oliwy i ciężkie wywołują wyznania i utyskiwanie.

— Ale bo nas twoje dzieła nie dochodzą!

Zdarza się też w gawędce usłyszeć:

— Co mówisz — czemuś nie pisał, nie ogłosił?

A mnie wtedy na myśli:

— Czemuś nie ciekawy, czemu nie czytujesz?

A niekiedy wybuchnąć przychodzi gniewem z wyrzutem:

rzy są w ręku Niemców czczem narzędziem, a w stosunku do własnego narodu jego mordercami. Dzięki szkolnej ustawie krajowej, każda rada szkolna, istniejąca przy każdej szkole, ma prawo zmieniać język wykładowy, którą to uchwałę zatwierdza odnośna gmina, w której szkoła się znajduje. Do rady szkólnej należą członkowie mianowani z grona nauczycielskiego, jak też powołani przez rząd, w końcu delegowani przez władze autonomiczne (gminy itp.). Cały więc ustrój rady szkólnej jest mocno podejrzany, członkowie mianowani robią co chcą, nie licząc się z niczem więcej, jak tylko czasem z naiwnością chłopa polskiego, na którym ma sprawdzić się przysłowie: mądry Polak po szkodzie.

W wydziale gminnym skład członków odmienny, bo wybieralny, ale stosunki te same.

To też nic dziwnego, że skoro w takiej radzie szkólnej, w takim wydziale gminnym znajdzie się jeden renegat-Polak — wystarczy, by wieś cała nietylko uchwaliła, co ten pan „radził", ale na wyścigi by to starano się zrobić, bo według ogólnego przysłowia „widać, że to dobre będzie."

Tyle jako wstęp. Nadto dodać należy, że mimo iż ludność polska ma dominującą przewagę w Cieszyńskiem, bo liczy 220 tysięcy wobec 85 tysięcy Czechów (podzielonych) i 56 tysięcy Niemców (po miastach) — posiada zaledwie 34% klas polskich. Wobec takich stosunków polskie dzieci w przeważnej części uczą się w języku dla siebie zupełnie obcym, bo niemieckim lub czeskim, albo też co gorsze według pedagogów niemieckich utrakwistycznie tj. w połowie po polsku, w połowie po niemiecku każdego przedmiotu. Oczywiście, że z takiej nauki mniej dzieci nie znające zupełnie języka niemieckiego skorzystają, niżby je uczono od początku w obcym dla nich języku — a moralnie tracą nie nauczywszy się żadnego języka uczciwie po niemiecku, a w dodatku przy tego rodzaju nauce przestają zupełnie myśleć. Na szczęście takich szkół było dotychczas niewiele, — dopiero w ostatnich czasach, a raczej w bieżącym miesiącu hyeny niemieckie rzuciły się na nasze szkoły. Renegaci polscy stali się chytrymi mordercami, i to niewinnych dzieci polskich.

Na posiedzeniach rad szkolnych Wydziałów Gminnych w całym szeregu miejscowości zaprowadzono utrakwizacyę. W Istebnej, w podgórskiej wiosce, gdzie na dwa tys. 212 mieszkańców, jest 11 Niemców (urzędników arcyksiążęcych), — w Borninie, gdzie na 14 tys. 326 mieszkańców jest 1113 Niemców (urzędników hr. Larischa), w Boguminie, gdzie na 3391 ludności jest 149 Niemców (urzędników kolejowych), w Lipowcu, gdzie na 958 mieszkańców jest 9 Niemców, i w całym szeregu miejscowości rady szkolne a w ślad za tem wydziały gminne powzięły uchwały utrakwizacyi szkół polskich.

Przyczyny tej iście potwornej akcyi daleko nie trzeba szukać.

Z jednej strony wytężona akcya ludności polskiej o zdobycie pełnego seminaryum nauczycielskiego, i strach przed temże zmusza wrogów naszych do podjęcia ostatnich kroków przeciw polskości, z drugiej strony obawa Niemców i rządu krajowego na Śląsku, że w razie otwarcia seminaryum polskiego, opróżnią się mury seminaryum niemieckiego, które zapełniają dzisiaj uczniowie Polacy, — i posady wszystkie obsiędą nauczyciele Polacy. Obawa przed utratą tego, czego nigdy nie posiadali, lecz co pragnęli posiadać, pchnęła „Landlehrerverein," gdyż to on kieruje tą akcyą, do tego potwornego czynu.

To też nic dziwnego, że lud polski z oburzeniem odepchnął te zbrodnicze zakusy wymierzone przeciw niemu i jego dzieciom, a nauczycielstwo pol-

---

— Czemuś nie czytał?

Podobnie mógłby do nas Lelewel wołać:

— Czemu nie czytacie?

Tyle pięknych rzeczy napisałem, tylem wam wymalował obrazów przeszłości, tak wielem wam postaci historycznych wykuł jak z marmuru posągi, a nie znacie, nie czytacie i nie rozumiecie drogi tej, która przeszłość Ojczyzny zna i naród w olbrzyma rozwijała.

13.

Z pism Lelewela przytaczamy niektóre wyjątki, ażeby dać poznać chociaż w kilku rysach, jak on czuł, myślał i na dzieje patrzył.

— Sądzę, że rozpatrzenie początku, wzrostu i urządzenia się Rzeczypospolitej, dostatecznie zapewnia, że nie nadzwyczajny człowiek jaki, nie przesławna czyja wysoka zdolność, dźwignęła wspaniały gmach, ale znamienita część narodu. Pojedyńcze osoby tonęły w działaniu powszechnem tłumów. Przeważne wpływy nikły, wynurzając się w następstwach; dzieje nie umieją zdać sprawy z ich zabiegów, wysuwają tylko dużo imion porwanych w tłumną dążność. Tłum działa jak wichura, w której odmęt tylko, po jego jednak przelocie, spełzł dawny, nowy jaśnieje porządek; wyszumi się i znowu z większym trzaskiem buchnie. Imiona pojedyncze chwilowo błyszczą i gasną, wichura sama huczy. Rytwiański, Oleśnicki, Tęczyński, Tarnowski, Kmita, nie powodują, niejednej sprawie zawadzają, postępowaniem swem nieraz postępowi sprzeczni. Powoduje głównie myśl, która unosi znamienitą część ludu, pojęcie jakie powziął, które do pewnej dojrzałości rozwija.

Powie kto, że podobną w tych czasach dążność dostrzegać można w innych narodach. Jeżeli te narody za podobnemże goniły pojęciem, wypada przyznać, że zabiegi różny owoc wydały, spękały się bez skutku, a jeden tylko lud szlachecki narodu polskiego powziął myśl wolności i przestronną rozwinął rzeczpospolitą, na co się zdobył na kuli ziemskiej on najpierwszy. Były rzeczypospolite miast i mieszczańskie w starożytności i w średnich wiekach, potężne stolice, rzeczypospolite panujące, republikańskie federacye miast, kantonów wolnych, związki małych, republikańskich krain, ale Polska jedynie sama rozwinęła się w przestronną narodową rzeczpospolitą, ona dźwignęła i postawiła zasady, do których stara Europa dąży, aby odmłodnieć i położenie swych mieszkańców ulepszyć. Słusznie są czynione zarzuty ciężkich wad, jakie plamiły rzeczpospolitą polską. Mamy je rozważać, ich źródło i postęp wskazać. W pomyślniejszej przyszłości oby ludzkość europejska zdołała ich uniknąć! Nie przestajemy jednak nastawać na to, że Polska roztacza widok wspaniały, z posad różny od tych wszystkich republik, które różnemi czasy w dziejach świata błyszczały.

* * *

Prawe uczucie nie widzi niebezpieczeństw i niepodobieństwa, tam spieszy gdzie mu obowiązek nakazuje, a często staje się swej cnoty ofiarą. Tą koleją szli gorliwi patryoci, którzy zmacniając w Warszawie zawiązek, starali się komunikować i rozszerzać swe działanie po całej ziemi polskiej.

* * *

Złożeniem broni przez wojsko polskie zamyka się trzeci i ostatni sześcioletni Stanisława Augusta okres. Po-

skie na każdem miejscu piętnuje tych nauczycieli, którzy, stając się tak nędznymi pośrednikami, stają zarazem w sprzeczności z nauką i pedagogią. Jestto ostatni zamach na polskość na Śląsku, który da Bóg przetrwamy, i wyjdziemy zeń silniejsi i odrodzeni.

B. Z.

Przegląd prasy.

Podaliśmy w ostatnim numerze krótką wzmiankę o projekcie ks. prob. Zdzisława Zakrzewskiego z Golejewka, który radzi rodakom naszym w Berlinie, ażeby celem wyodrębnienia się z pod wpływów księży-germanizatorów, wychowanków ks. kard. Koppa z Wrocławia, udali się do Ojca św. z prośbą o pozwolenie na zmianę obrządku *rzymsko*-katolickiego na *ormiańsko*-katolicki.

Projekt ten wywołał w prasie naszej obszerną dyskusyę, tem bardziej, ponieważ *„Dz. Berliński“* zaznaczył, że „wywołał on w kolonii berlińskiej duże wrażenie“. Jako dowód podaje „Dz. Berl.“ fakt, że

„wszędzie, gdzie się rodacy spotkają, żywo go omawiają i rozważają jego szanse. Jeden z nich przybył zaraz do redakcyi „Dz. Berl.“ i ofiarował się na swój koszt wziąć udział w proponowanej przez ks. Zakrzewskiego deputacyi Polaków berlińskich do Rzymu do Papieża.“ —

„Gońcowi Wielkop.“ projekt ks. Zakrzewskiego tak się spodobał, że chciałby go jeżeli nie od razu przenieść na stosunki w stronach naszych, to przynajmniej widzieć w nim również możność zastosowania jako środka ochronnego przeciwko germanizacyi przez Kościół. Pisze on w tej sprawie, że „znamienne to pismo“

„w danym razie odnosić się może i do stosunków w kraju, zwłaszcza do tych parafii, w których szalony napór germanizacyi za przyczyną hakatystów i „amtskatolików“ zagraża zagładą naszej narodowości polskiej. Nowożytną robotę krzyżacką, mającą jako ostateczny cel protestantyzacyę, musimy odeprzeć. Podobnie działo się w początkach chrześciaństwa w Polsce, która narzucanego gwałtami przez Niemców chrześciaństwa znać nie chciała, a dopiero przejęła je chętnie z rąk apostołów słowiańskich, którzy szerzyli chrześciaństwo na podstawie miłości, bez ognia i miecza.“

Według *„Górnoślązaka“* myśl ks. prob. Zakrzewskiego

„nie zawiera nic zdrożnego. Wiara bowiem tak w kościele rzymskim jak ormiańskim jest jedna i ta sama święta wiara katolicka. Różnica zachodzi tylko w obrządkach i to różnica bardzo mała. O odszczepieństwie więc nie może być absolutnie mowy, gdyż głową obrządku czy to łacińskiego, czy ormiańskiego jest papież rzymski, nieomylny Zastępca Chrystusa.

Jednakże wiemy z drugiej strony, że papiestwo dążyło zawsze do tego, aby w kościele Bożym i pod względem formy zewnętrznej panowała jedność, zatem mamy wątpliwość, czyby się Ojciec św. zgodził na urzeczywistnienie projektu, podanego przez ks. Zakrzewskiego. Oprócz tego nasuwa się tyle wątpliwości czysto technicznej natury, że trudno nam uwierzyć w możliwość przeprowadzenia tego planu.

Rozpisujemy się tu o tem dlatego, aby zaraz na samym wstępie zaznaczyć, że w planie ks. Zakrzewskiego nie ma absolutnie żadnych a żadnych dążności odśrodkowych ani pod względem wiary, ani pod względem administracyi kościelnej, gdyż jedno i drugie stoi w tej samej ścisłości z Rzymem w obrządku ormiańskim, jak łacińskim.

Jako katolicy obrządku łacińskiego jednak, przyzwyczajeni do form odnośnych, pragnęlibyśmy, aby Ojciec św. w razie, gdyby przedłożony został projekt ks. Zakrzewskiego, wywarł nacisk tam gdzie należy, aby słuszne żądania Polaków sprawiedliwie uwzględnione zostały. Przez to bowiem projekt ks. Zakrzewskiego sam przez się upadnie.

Życzymy naszym braciom w Berlinie jak najgoręcej aby uzyskali w kościołach berlińskich to, co im się należy. Nie chodzi tu bowiem o uroszcze-

---

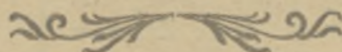
dobnie jak pierwszy, zaczął się od starań naprawienia i przemienienia rzeczypospolitej, kończył wojną o niepodległość, a zamknął cudzoziemską grabieżą i ćwiartowaniem przez trzech sąsiadów dopełnionym. Lecz przy elekcyi, niewielu przemożnych ową naprawę i przeobrażenie przedsiębrało, skłonni, a może istotnie potrzebujący szukać obcej pomocy; w sejmie czteroletnim, cała reprezentacya narodu do tego się sama przez się brała, i cały naród chętnie się bez narzekania do tego skłaniał, do czego już nie było potrzeba obcej pomocy. Wprzód mnogie nieukontentowania zawichrzyły całą Polskę i Litwę konfederacyami, wpływem obcym skierowanymi, a uchylającymi ustawy sejmu elekcyjnego; pod koniec, aby obalić czteroletniego sejmu budowę, zaledwie tylko kilku pychą przejętych malkontentów, wyżebrało obcej pomocy i wszystkie jej potężne siły na ojczyznę ściągnęło. Skruszona budowa czteroletniego sejmu przysypała byt polityczny narodu. W ostatniej walce o niepodległość, nie sama szlachta, jak to było za konfederacyi barskiej, ale i mieszczanie i wieśniacy i wojsko w obronie ojczyzny stawali. Ale w uszczuplonym już kraju, szczuplejsze były te siły, niżby być mogły na początku; żadnej już znikąd niemogło być pomocy, a połączonych sąsiadów potęga, wyszła w pole całkowicie.

Oczywistą przemocą w tej ostatniej dobie i nieodzowną prawie przyszłości wróżbą, nie był odstręczony naród od dopełnienia obowiązku, od zapróbowania sam przez się sił swoich. Objawił światu, że zbliżając się do upadku odzyskiwał, po długim odrętwieniu życie, które go do coraz powszechniejszego i coraz zgodniejszego usposabiało poruszenia; okazał, że w samym upadku rozpoczyna się jego rychłe odrodzenie.

Naród polski, składał się jak inne w Europie z rozmaitych klas, czyli stanów, nie tyle językiem, co prerogatywami i prawem odróżnionych. Jedna tylko z nich klasa tworzyła rzeczpospolitą i podnosiła dla siebie, w swym obrębie, zasady wolności i wszechwładztwa ludu, inne były przez nią poczytywane za niższe, lub zostawały w poddaństwie.

Pospolicie klasa przewodząca zwraca na się baczność historyi, zajmującej się nieraz więcej wyłącznościami pojedyńczymi niż powszechnym tej klasy ruchem. Dzieje polskie mimo zwyczaju historyi, zniewalają więcej niż jakiegokolwiek kraju do zapatrywania się na ogólny ruch i powszechne usposobienie tej klasy, to jest narodu szlacheckiego. Czas początku panowania Stanisława Augusta przedstawia w tym narodzie nieład, osłabienie, odurzenie, skutek skażonych uczuć i sił moralnych. Wtedy ludzie światła i zdolności, powodowani różnymi pobudkami, podnieśli się, aby świecić, korzystać z niemocy innych, aby odpowiedzieć swym przekonaniom. Egoizm arystokracki chcąc się wywyższyć, podnosił zasady monarchiczne, usiłował pozyskać wyłączności z uszczerbkiem zasad republikańskich. Myśl zaś obywatelska pragnęła podźwignąć wolność i niepodległość na starodawnych zasadach narodowych. Na odgłos tych zamiarów ocknęły się wszystkie klasy, widok tych przedsięwzięć wzruszył je do gruntu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



nia i przywidzenia, lecz o zbawienie dusz tysięcy ludzi. A to przecież jest sprawa pierwszorzędnej doniosłości i znaczenia.“

Kilka owych „wątpliwości czysto technicznej natury“ wymienia „*Postęp*“. Chociażby — powiada on — Papież pozwolił na przejście na obrządek ormiański, to

„wybudowanie świątyń tego obrządku w Berlinie wymagałoby wielkiego funduszu i kto wie, czyby Polacy katolicy dwa razy nie byli zmuszeni opłacać podatków kościelnych. Samo przechodzenie na inny obrządek natrafiłoby w społeczeństwie naszem na opór. Nadto jedna świątynia polska na Berlin by nie wystarczyła, gdyż jest za rozległy. Jednakże wobec ustawicznego poniewierania katolików-Polaków przez duchowieństwo katolickie w Berlinie warto się bliżej zastanowić nad tym projektem, bo doprawdy księża niemieccy to nie kapłani wedle Chrystusa. Są oni raczej pospolitymi funkcyonaryuszami rządu pruskiego. Więcej się oni oglądają na ludzi, aniżeli na Boga.“

„*Postęp*“ zwraca równocześnie uwagę na to, że ks. prob. Zakrzewski żali się na dyplomacyę watykańską, na to, że ks. kard. Kopp 50 tysiącami świętopietrza zjednywa sobie wdzięczność Papieża i mir w Watykanie, i takie wcale trafne robi spostrzeżenie:

„a czemuż to Polacy galicyjscy nie starali się już od dawna, aby odłączyć część dyecezyi austryackiej na Śląsku od dyecezyi wrocławskiej, a wpływy takiego biskupa Koppa znacznie by zmalały. Jeszcze teraz wpływowe osoby polskie powinny nastawać na to tak we Wiedniu, jak i w Watykanie, aby tego podziału dokonać. Ćwiartowano dawniej nasze dyecezye polskie na różne części, to można też teraz dokonać takiego podziału z dyecezyą wrocławską, która zresztą i tak jest za obszerną i torytoryalnie i co do liczby dusz. Już dawno bystrzejsze umysły polskie poruszały tę myśl podziału wrocławskiej dyecezyi i dawniej można było snadniej tego dokonać. Zawsze należy nad tem pracować, a wtenczas naszą pozycyą wzmocnimy.“

Przypomnienie to na czasie. Toż Koło wiedeńskie często w sprawach państwowo-austryackich idzie ręka w rękę z Kołami katolicko-niemieckiemi w Austryi. Czyż trudno sobie wystawić, że przy nadarzającej się okazyi Koło polskie w Wiedniu zażąda jako odwzajemnienia się od katolików niemieckich Austryi, ażeby poparli rozdział dyecezyi wrocławskiej. W danym razie nacisk na koła rządowe może odnieść pożądany skutek.

Powyższe głosy prasy naszej dowodzą, że projekt ks. prob. Zakrzewskiego napotkał u nich na stanowisko przychylne. Na tem samem stanowisku pomimo wątpliwości nie tylko technicznej natury stanął także tuż po ukazaniu się projektu ks. Zakrzewskiego i „*Kuryer Poznański*“.

„Naszem zdaniem — pisze „Kurjer“ podawszy projekt ks. Zakrzewskiego — nie tylko cała sprawa, ale i projekt ks. prob. Zakrzewskiego potrzebuje bardzo wielkiej rozwagi. Przez nierozważne wystąpienie przed Ojcem św., czy osobiste, czy piśmienne, można w danym razie rzecz popsuć. Rozróżniać w tym przypadku należy stronę *kościelnego* zaspokajania potrzeb duchowych i polskiego nabożeństwa od strony *politycznej*, tj. germanizacyi w Kościele.

Skarga ks. prob. Zakrzewskiego na dyplomacyę watykańską i łączenie jej z 50 tysiącami, płaconemi przez ks. kard. Koppa dla rzymskich kongregacyi jest dla nas niejasną i nie rozumiemy dobrze, jaki to ma mieć związek z bolesnem położeniem duchownem naszych rodaków w Berlinie.

Dyplomacya watykańska na różach nie spoczywa, w Prusach także nie, a ciążą na niej obowiązki nietylko względem Polaków. Nie jest nam też jasne, do czego ma prowadzić wygrywanie dyplomacyi watykańskiej przeciw Ojcu św.

Kwestya przejścia na obrządek ormiański bodaj należy do kompetencyi wiernych obywateli *świeckich*. Pierwszy i ostatni głos należy zapewne pozostawić *władzom duchowym*.

Projekt ks. prob. Zakrzewskiego sam w sobie dobry i niewątpliwie na tej drodze powinien Berlin szukać obrony. Nasze uwagi mają też na celu nie zniechęcanie do niego, ale pobudzenie do bardzo rozważnej akcyi.“

Zasadniczo więc i „Kurjer Poznański“ — jakby się z tych uwag wydawało — godzi się na projekt ks. Zakrzewskiego. Pomimo tego uwagi jego o „dyplomacyi watykańskiej“ i 50 tysięcy świętopietrza osłabiające wrażenie, jakie projekt w pierwszej chwili musiał zrobić, nie przypadły do gustu „*Dziennikowi Berlińskiemu*“. „Dz. Berl.“ podał skutkiem tego wyjaśnienie, dla czego projekt ten wogóle opublikował. Nasampierw więc porozumiał się z „osobami znającemi dobrze kolonię berlińską“. Osoby te były za ogłoszeniem projektu „ze względów taktycznych“. Więc „Dz. Berl.“ ogłosił projekt ks. Z. ze względów taktycznych i dziwi się, że prasa na ogół rozpatruje jego projekt — ze strony zasadniczej. Na podstawie swoich uwag o „względach taktycznych“ „Dz. Berl.“ wypowiada „narodowo-demokratycznemu“ „Kurj. Poznańskiemu“ swoje zdziwienie, że rzekomo:

„tak mało zrozumiał, o co tu chodzi, że z jednej strony o projekcie ks. Zakrzewskiego pisze, że jest dobry, a z drugiej strony robi o nim uwagi, jakby na niego zstąpił duch wyspy Tumskiej, biorąc nawet w obronę dyplomacyą watykańską, i że podobnie jak „Gaz. Tor.“ wytacza sikawki straży pożarnej przeciw ogniowi, którego tu nikt rozpalić nie myśli.“

„Kto się gniewa, nie ma racyi“ — mówi stare przysłowie. Jeżeli prasa projektu „Dz. Berl.“ nie przyjęła tak, jakby tego był pragnął, w tem jego wina. Trzeba było porozumieć się z prasą i zakomunikować jej owe taktyczne względy — a nie zdradzać ich przed tymi, przeciwko którym mają być wymierzone. Dziś po wyjawieniu zamiaru, po wyjawieniu owych „taktycznych (tylko!!) względów“, ku jakim projekt ks. Zakrzewskiego miał służyć, te taktyczne względy utraciły zupełnie swoją wartość i znaczenie. A szkoda, wielka szkoda, bo istotnie z taktycznych względów na projekt ks. Z. można się było godzić bez zastrzeżeń — i skutek byłby pewnie jaki został osiągnięty tem bardziej, że nadspodziewanie prasa nasza *zasadniczo* nawet na projekt ten się zgodziła, zdradzając tylko pewne „wątpliwości co do praktycznego przeprowadzenia ze względów technicznych“.

I o tem nie trzeba było pisać, ni mówić. Lecz winę, że sprawę tak wielkiej wagi pokpiono, tę winę musi przyjąć na siebie już — tylko sam „Dz. Berliński“.

Zaznaczyćby jeszcze wypadało, że odrębne od reszty prasy polskiej w tej sprawie zajęła stanowisko sama tylko „*Gazeta Toruńska*“. Pisze ona o projekcie ks. Zakrzewskiego:

„Na pozór jest to rada dobra, bo metropolitą katolików obrządku ormiańskiego jest znakomity książe kościoła, gorący patryota ks. Teodorowicz we Lwowie i jemu podlegaliby prawdopodobnie Polacy obrządku ormiańskiego w Berlinie.

Mówimy „prawdopodobnie,“ bo pewności niema, jakby Stolica Apostolska sprawę urządziła. Mogłoby się stać, żeby ormian katolików w państwie niemieckiem poddano Biskupom obrządku łacińskiego, jak to — o ile nam wiadomo — było w Ameryce z unitami ruskimi, zanim tam biskupstwo unickie zostało ustanowione. Tego domagałby się z pewnością rząd pruski, o ileby katolicy ormiańskiego obrządku chcieli uchodzić za katolików równorzędnych z łacińskimi.

Gdyby zaś zorganizowano katolików ormian jako odrębną, według prawa pruskiego, „gminę religijną,“ wyzyskaliby nasi przeciwnicy nieświadomość ludu, aby przechodzenie na obrządek ormiański przedstawiać jako *odstępstwo od wiary katolickiej*. Jeżeli „Germania“ katolików Polaków przedstawia już teraz jako „katolików mniejszej wartości,“ cóżby się działo, gdyby zmienili obrządek łaciński na ormiański, ludowi naszemu zupełnie nieznany.

Z tego względu myśl zmiany obrządku, która się już przejawiała kilkakrotnie w Westfalii, została tam stanowczo odparta w interesie narodowym i w intersie jedności ludu polskiego na obczyźnie, bo nie ulega wątpliwości, że zmiana obrządku wywołałaby na wychodźtwie niebywałe zamieszanie i walki wśród samych Polaków.

Taka próba udałaby się może w Poznaniu, gdyby kilkudziesięciu lekarzy, adwokatów i innych ludzi wykształconych przeszło na obrządek ormiański i gdyby za nimi poszło także kilku księży miejscowych. Wychodźtwo niech takich prób się strzeże!“

Sądzimy, że nawet „Gaz. Tor.“, gdyby się była dowiedziała o „względach taktycznych“, byłaby inne zabrała w tej sprawie stanowisko.

Nam projekt ks. Zakrzewskiego, pomijając wszystkie i taktyczne i zasadnicze względy z zupełnie innych powodów się nie podoba. Wypowiemy je tutaj, a wypowiemy jedynie dla tego, że uważamy akcyę „Dz. Berl.“ dzięki jego własnej nieszczęśliwej taktyce za zwichniętą. Inaczej bylibyśmy te powody przemilczeli.

Otóż projekt ks. Zakrzewskiego dla tego nam się nie podoba, że nie podobna w nim upatrywać czynnika łączącego lud polsko-katolicki, lecz obawiać się trzeba, że do wielu kwestyi spornych istniejących w jego łonie — wmieszałby jeszcze jednę i to najgorszą. Dziś, o ile pod względem politycznym często nie zgadzamy się ze sobą, o tyle w sprawach religijno-kościelnych panuje wśród nas *niezamącona jedność.* Tę jedność projekt ks. prob. Zakrzewskiego niewątpliwie, jeżeli nie byłby zdolen rozbić, to byłby zdolen podkopać.

I tak przez wniesienie waśni w nasze szeregi, waśni religijnej, ks. prob. Zakrzewski byłby zaszkodził sprawie narodowej, której chciał pomódz. Tak często zresztą w polityce bywa; chce się jak najlepiej, a jeżeli nie obmyśli się wszystkiego „za i przeciw,“ jeżeli zapomni się choćby zdolności przeciwnika, że on rzecz będzie umiał przekręcić, że będzie dość nieuczciwości posiadał, ażeby to uczynić — w takim razie najlepsza rzecz może ostrze swoje zwrócić przeciwko tym, którym na korzyść była podjęta.

Z tego punktu widzenia projekt ks. Zakrzewskiego nie wytrzymuje krytyki.

Tyle w sprawie propozycyi przejścia na obrządek ormiański. Co do petycyi do Ojca św., szczerze wyznać musimy, że pod tym względem *za mało się robi.* Po co groźby, po co wołania na krzywdy dziejące się nam w łonie kościoła katolickiego, jeżeli nie wyczerpujemy wszystkich środków obrony. Ale — łatwiej na wiecu mowę powiedzieć, łatwiej do bojkotu zawezwać, aniżeli zebrać potrzebny do petycyi materyał. Z gołemi rękoma, bez dowodów w ręku na czynione zarzuty u Papieża nic nie wskóramy. Trzeba na zarzuty, na skargi i żale zebrać obfity materyał. Ale — to roboty za dużo. Lepiej na wiatr gadać i niezi̇szczalnemi projektami grozić.

Nie — mądre to nie jest, patryotyczne też nie. Niech ks. prob. Z. i „Dz. Berl.“ przypomną sobie, ile razy w życiu deklamowali pięknie i z patosem: czas uderzyć w czynów stal! — Czas, czas, oj czas od słów przejść do czynów, ale rozumnych i pożytecznych.

Przegląd polityczny.

Niemcy. W niedzielę dnia 4 sierpnia ma się odbyć spotkanie cesarza Wilhelma II z carem Mikołajem II. Cel spotkania utrzymywany jest w najściślejszej tajemnicy. Spotkanie to jednakże w obecnych warunkach nie wygląda wcale na wizytę oddawaną sobie wzajemnie z grzeczności. Przeciwnie, zdaje się, jakoby obydwaj monarchowie mieli ze sobą ważne bardzo sprawy do omówienia.

Przypuszczenie to jest tem bliższe, że ks. Bülow przerwał swój pobyt w Norderney i wrócił do Berlina, skąd ma się udać na statek cesarski, by towarzyszyć monarsze na miejsce spotkania, które się ma odbyć w jednem z portów bałtyckich.

Spotkanie cesarza niemieckiego z carem rosyjskim może mieć dużo wagi i wielki wpływ na przyszłą konstelacyę stósunków europejskich. W ostatnim czasie przyjaźń francusko-rosyjska znacznie oziębła. Pisma „prawdziwie“ rosyjskie wymyślały na bankierów francuskich, którzy widocznie wiecznie próżnej kieszeni rosyjskiej napychać nie mają ochoty., natomiast chwaliły bankierów niemieckich. W prasie zagranicznej tłomaczą sobie fakt ten jako objaw zbliżania się Rosyi do Niemiec.

Winę oziębienia się stósunków francusko-rosyjskich przypisuje się szczególnie Anglii i Francyi. Państwa te, starając się o sojusz przeciwko Niemcom zlekceważyły podobno Rosyę, nie biorąc jej po klęsce japońskiej i dzięki wewnętrznym rozruchom należycie w rachubę. Błąd ten wyzyskały Niemcy na swoją korzyść.

Czy równocześnie nie uknuje się czegoś i specyalnie na naszą krzywdę? Rok temu mówiono głośno o zabraniu Król. Polskiego przez Prusy. Dziś sprawa wywłaszczenia w naszym zaborze, a ucisk w Królestwie tak jakoś sprawę tę zagłuszyły, że się o niej milczy. Czy nie wartoby przed tem niebezpieczeństwem na nowo przestrzedz?

Austrya. Zakończona została pierwsza sesya parlamentu. Pracy nowy parlament, na podstawie nowego wybrany prawa wyborczego, nie wiele dokonał. Zgodnie jednakże mówią o nim wszyscy, że jest inny od poprzednich parlamentów, wybieranych na mocy przywilejowego prawa kuryalnego. Parlament okazał dużo chęci do pracy. A choć uchwalił na razie tylko prowizoryum budżetowe, to i to już wiele znaczy, gdyż nieomal od 10 lat rząd był zmuszony ściągać podatki pod osłoną słynnego § 14. — Z partyi parlamentarnych wybitne zajęła w izbie stanowisko partya chrześciańsko-socyalna. Stósunki narodowościowe na razie nie uległy prawie żadnej zmianie. Zdaje się, że parlamentarne stósunki w Austryi weszły na lepsze tory.

Korea. Delegaci koreańscy, których konferencya hagska zbyła niczem, udali się do Londynu, a stamtąd do Ameryki. Opowiadają oni, że położenie Korei chcą przedstawić prezydentowi Rooseveltowi, że chcą zwiedzić kilka znaczniejszych miast amerykańskich i wrócić do Londynu. Stąd zamierzają dokładać starań, ażeby polityce japońskiej w Korei przeciwdziałać. Delegaci łudzą się co do skutku, jaki odniosła ich sprawa w Hadze. Kładą oni pewną wagę na *wyrazy współczucia,* jakiemi ich obdarzyli delegaci Francyi, Anglii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

— My wiemy, jak tanie jest współczucie, i że do pomocy ono nikogo nie obowięzuje.

Rosya. Wielką sensacyę w Petersburgu wywołało odkrycie zamachu na cara. Wplątane w sprawę tę są koła inteligencyi petersburskiej. Aresztowano już kilku adwokatów. Razem oskarżonych jest 20 osób. — Policya wpadła na trop komplotu po zabójstwie nadprokuratora wojskowego Pawłowa. Główną kierowniczką była jakaś osoba, ukrywająca się pod przybranem nazwiskiem „Niny“. Pod tem mianem kryć się ma adwokat Feodosjew. Organizacya, na której czele stała Nina, umiała wydobyć szczegóły dotyczące komunikacyi cara z ministeryum, umiała wywiedzieć się o zwy-

kie drogi przechadzek czy przejażdżek rodziny carskiej i wyznaczyła wszędzie najdogodniejsze posterunki do rzucania bomb.

Rzecz wydała się przez samobójstwo zakonnicy, nazwiskiem Zubow. Znaleziono u niej skład bomb oraz najdokładniejszy plan Peterhofu i Carskiego Sioła, zamków carskich, dróg, komnat, i wszelkich szczegółów obliczonych na udanie się zamachu. Aresztowanych jest dwóch adwokatów Tarasow i Czahorow. Wyniku procesu oczekuje się z wielką ciekawością.

Listy od Przyjaciół.

Bydgoszcz, dnia 29. lipca 1907.

Dobra nowina z zagrożonej placówki!

„Spółka budowlana w Bydgoszczy,“ założona przed niespełna rokiem przez dr. Emila Warmińskiego, rozpoczęła właściwą swą działalność pod bardzo szczęśliwą gwiazdą.

W ubiegły piątek dnia 26 lipca br. wykupiła bowiem z rąk niemieckich obszerną posiadłość przy ul. Wilhelmowskiej w Bydgoszczy, składającą się z blisko 2 morgowego parku i wspaniałej sali, bodaj że największej w całem Księstwie, — co najważniejsza, wykupiła pod warunkami bardzo korzystnymi. Cena zakupna wynosi 120 tys. marek i to już włącznie nadkompletnego inwentarza martwego. Posiadłość położona w samem centrum miasta.

Ponieważ kierownictwo przedsiębiorstwa spoczywa w ręku ludzi fachowych, znanych ze swej rozwagi obywatelskiej i zmysłu praktycznego, można rokować Spółce bydgoskiej jak najlepszy rozwój. Dałby Bóg, by powodzenie spółki bydgoskiej podniosło znowu w naszem społeczeństwie zaufanie ogólne do podobnych przedsiębiorstw, a stanie się to niechybnie, gdy spółka budowlana w Bydgoszczy dozna poparcia w szerszych sferach społeczeństwa. Nadmienić jeszcze wypada, że do spółki tej w ostatnim kwartale przeszło 200 nowych przystąpiło udziałowców. *S. L.*

* * *

Wielowieś (Galicya), d. 18. lipca 1907 r.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szanowna Redakcyo!

Już rok dochodzi bo 4-ty kwartał jak jestem czytelnikiem „Pracy.“ I nie mogę się nasycić tem pismem. Dosyć pism już czytałem, lecz tak zajmującego jak „Praca“ jeszcze nie. Z wielką też niecierpliwością czekam każdego poniedziałku, kiedy „Praca“ przychodzi. I chociaż mnie jako wyrobnika noc wygania i noc przygania, i czasu nie ma do czytania, to jednak i nocy nie żałuję, by cokolwiek przeczytać. Nie jest to dogodnie, że „Praca“ stąd tak daleko wychodzi i bardzo byłbym wdzięczny Sz. Redakcyi, gdybym mógł dostawać pismo przed niedzielą. Latem też nie ma czasu, a i noc krótka. A tu człowiek nie może się doczekać. Upraszam więc, czyby nie było możliwe wcześniej do nas „Pracy“ wysyłać.

Po drugie proszę bardzo uprzejmie, czyby nie było w zapasie starych numerów. Braknie mi Nr. 2-gi z tego roku. A bardzo mi potrzebny, bo chciałbym sobie pół roczniki kazać oprawić. Żal mi przecież takiego pisma rzucić w piec, a szczególniej dla tych ślicznych i zajmujących historyi i obrazków.

Życzyłbym każdemu „Pracę“ mieć w domu. Lecz niestety u nas naród jest za chudobny, i kogo tylko namawiam, mówi, że drogie. Cóż ja mogę uczynić? — Niejeden by i mógł, bo czyta pisma takie, których nie warto do ręki wziąć. Lepiej przecież dołożyć parę centów i trzymać pismo pożyteczne dla ciała i duszy. Ale cóż! — u nas jeszcze tysiące ludzi żyje w ciemnocie i mówi: co mi tam gazety — to tylko dla panów! Oj nie prawda, bracia, bo przez modlitwę do Boga, a przez zdrowe i dobre pisma do oświaty i dobrobytu dojść można. Przez oświatę lepsze czasy by nastały dla kraju, byłaby zgoda i jedność. Nie byłoby wygadywania przez jednych na drugich: a ty chłop, a ty pan, bośmy wszyscy dzieci jednego Boga i jednej ziemi.

Donoszę jeszcze Sz. Redakcyi, że u nas w zachodniej Galicyi panują straszne deszcze już 2 tygodnie. Zboże gnije i rośnie w garściach. Jeżeli Bóg nie odmieni, to te śliczne plony pójdą w błoto. A powódź znów pewna! Oj ta biedna Galicya, kiedyż doczeka się lepszej doli? Dnia 17-go i 18-go to takie spadły ulewy i burze z gradem, że żywa powódź. I miej się tu dobrze, chłopie w Galicyi! Kto cię poratuje — może rząd austryacki!!

Na zakończenie zasyłam Sz. Redakcyi i wszystkim Czytelnikom i współpracownikom „Pracy“ szczeropolskie pozdrowienia, jak najszczęśliwszej pracy i rozwoju, ażebyśmy z tego korzystali i doczekali się kiedyś jedności tej naszej kochanej Polski, co daj Boże — amen.

Pozostaję z uszanowaniem

Rafael Czech.

Wielowieś p. Nadbrzezie w Galicyi.

Z piśmiennictwa.

„Siła i prawo w sprawie polskiej“ (Macht u. Recht in d. poln. Frage) tak brzmi wielce obiecujący tytuł broszurki niejakiegoś p. Oscara Cordela. Sam tytuł wskazuje na jej treść. Oczywiście dla każdego „nowoczesnego“ Niemca w polityce antypolskiej istnieje tylko siła — *prawo* jest zbyt przestarzałem pojęciem i odrzuca się je jako starzyznę na śmiecie. Pan Cordel i z tego jest ciekawy, że w broszurce swojej zbija wszelkie możliwe zarzuty przeciwko uciskowi niemieckiemu, a Polakom zniemczenie zaleca — jako zamianę dwóch równych wartości: języka polskiego na niemiecki. Na to jest odpowiedź prosta, że jeżeli język niemiecki nie jest więcej wart od naszego, to my już przy swoim wolimy pozostać.

„Niebezpieczeństwo niemieckie.“ Biały kruk! Istotnie w stosunku do ilości broszur niemieckich o sprawach polskich, broszura polska o sprawach niemieckich — jest białym krukiem. Nie jest to jednakże, jakby przypuścić można na pierwszy rzut oka, broszura odnosząca się do spraw polsko niemieckich. Przeciwnie autor jej p. *Bol. Noskowski* omawia mocarstwowe stanowisko Niemiec ze stanowiska ogólnego. Mówi więc „o walce o panowanie na morzu,“ o „rozwoju przemysłu niem.“, o „źródłach potęgi przemysłowej Niemiec,“ o „potędze militarnej i politycznej“ i o „perspektywie przyszłości.“ Materyał do osądzenia Niemiec jest zebrany umiejętnie i podzielony przejrzyście, tak że broszurka p. Noskowskiego jako rzecz informacyjna dla wielu będzie bardzo pożądaną. — Wyszła w Warszawie u Gebethnera i Wolffa.

„Naszego Kraju“ (we Lwowie) — wyszedł No. 4 i zawiera bogatą treść literacko-artystyczną, aktualną i liczne ilustracye.

„Tygodnika Illustrowanego“ w Warszawie — wyszedł No. 30, jak zawsze bogaty w treść i illustracye.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem*. W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień*

wcześniej. — Za doniesienia nadesłane późnie redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.

* * *

Wiec „Straży“ na hubach w Turzy w powiecie wągrowieckim w gospodzie p. Hędzia odbędzie się 11 sierpnia o godzinie 4 i pół po południu. Przemawiać będzie jako delegat „Straży“ p. redaktor B. Milski.

* * *

Wiec Związku Polaków odbędzie się *w Dortmundzie w niedzielę 4 sierpnia* o godz. 4 i pół na sali p. Schäfera (ogród zoologiczny) przy ul. Leibnitzca. Na porządku dziennym, referat p. Żuińskiego na temat: Socyalizm a narodowość. W dalszym ciągu dyskusya i wnioski.

Związek Polaków w Niemczech.

Wiadomości.

* **Strach przed p. Biedermanem.** Nabycie kilku majątków na Dolnym Śląsku przez ruchliwego przedsiębiorcę i działacza społecznego pana Marcina Biedermana z rąk niemieckich i dalsza sprzedaż ich w pewne ręce polskie, napełniają patryotów niemieckich ogromnym strachem.

Jak donosi „Pos. Ztg.“, rozesłał landrat w Sprottau v. Klitzing wezwanie do wszystkich sołtysów w swym powiecie, aby mu natychmiast donosili telegraficznie lub telefonicznie, jeżeli zauważą, że Polacy lub ich agenci starają się wykupić ziemię z rąk niemieckich.

* **Rozpędzone schadzki dzieci.** W Rixdorfie pod Berlinem schodziły się dzieci polskie w lokalu p. Malkowskiego na naukę polską. Z powodu przebudowywania lokalu, schadzki te od czterech miesięcy są przerwane. Pomimo tego rejencya berlińska przesłała kierowniczce tych schadzek p. Teofili Goździewskiej zakaz urządzania tychże nadal. Przekroczenie tego zakazu grozi karą 20 marek za każdy dzień lub 1 dzień aresztu. — „Dzien. Berl.“ oryginał zakazu zamierza posłać do muzeum do Krakowa, ponieważ „istotnie zasługuje na to, żeby był przekazany potomności jako wymowny dowód pruskiej tolerancyi, zazdroszczającej polskiemu dziecku nawet tej odrobiny światła, jaką mu daje własny język ojczysty.“

* **Gniezno.** W ubiegłą sobotę opuścił więzienie redaktor „Lecha“ p. Stanisław Szymański, który przebył 8 miesięczną kaźń.

* **Bytom.** Dnia 28-go z. m. odbyło się w mieście naszem na sali p. Wieczorka nadzwyczajne walne zebranie Związku bytomskiego „Wzajemnej pomocy chrześciańskich robotników górnośląskich,“ na którem przyjęto nowe ustawy. Wzorowano się przytem na licznych innych związkach zawodowych, których ustawy rozważano gruntownie, i co uważano za korzystne, wybierano dla nowych ustaw Związku bytomskiego. Do zreformowania statutów Związku zabrano się dlatego, aby rozszerzyć działalność Związku, powiększyć korzyści członków i aby Związkowi zapewnić pomyślniejszy rozwój.

Nowy statut, który przyjęto jednogłośnie, wejdzie w życie od 1 stycznia 1908 r. Na podziękowanie komisyi, a szczególnie p. mecenasowi Czapli jako przewodniczącemu tejże, za pracę około zestawienia nowych ustaw wzniesiono trzykrotny okrzyk: Niech żyją!

* **W ręce polskie z niemieckich** przeszło 50-morgowe gospodarstwo w Wożnikach. Nabył je p. Pietrzak z Żernik. — Z rąk niemieckich wykupił p. Walenty Wilkoszewski wieś rycerską Górę p. Zdunami obszaru 1500 mórg za 450,000 mk. — Z Kartuskiego w Prusach Zach. donoszą, że p. Jan Derra ze Stężycy nabył od Niemca majątek szlachecki Stężycę za 218,000 mrk. — Folwark Gapowo, około 2000 mórg gleby, nabyła z ręki żydowskiej polska spółka w Kościerzynie.

* **Zasadniczy wyrok** w *sprawie przedstawień za pomocą obrazów świetlanych* wydał, jak czytamy w „Głosie Śląskim“ sąd ławniczy w Katowicach: Dyrektor banku p. Szyperski otrzymał mandat karny z policyi na 30 m., ponieważ gdy w lutym r. b. urządził w „Reichshalle“ obchód Kościuszkowski z wykładem i p. dr. Seyda przytem pokazywał obrazy świetlane, obchód z wykładem został policyjnie zameldowany, lecz nie doniesiono policyi o przedstawieniu obrazów świetlanych. Policya uważała to za zabawę, za którą należy płacić podatek i wobec tego wydała mandat karny. Przeciwko temu odwołał się pan Szyperski do sądu i jako obrońca wystąpił adwokat pan dr. Seyda. Przed obchodem zapytał p. dr. Seyda komisarza policyjnego, czy temu nie stoi nic w drodze. Na to odpowiedział komisarz: „Jeżeli nie będzie śpiewu, to nie“. — Obrońca oświadczył, że przedstawienie obrazów świetlanych nie jest zabawą. Swiadek komisarz kryminalny Korda oświadczył, że przedstawienia były poważne, mające na celu przedstawienia młodzieży świetnych czynów naszych bohaterów. Wobec tego sąd ławniczy uwolnił oskarżonych, ponieważ ten rodzaj obrazów świetlanych nie można uważać za zabawę i dla tego owe przedstawienie nie podlegało podatkowi od zabaw publicznych.

* **Płotka czy Plotka?** W Slesinie zmusić chcieli nauczyciele Goldmann i Grochowski córkę p. Józefa Płotki, Waleryę, do pisania swego nazwiska Plotka. Dziewczę pisało Płotka, za co zostało ukarane. Ojciec udał się ze zażaleniem do inspektora szkolnego p. Maigattera w Żninie. Ten odpowiedział, że p. Płotka sam może pisać swoje nazwisko poprawnie, atoli nie ma prawa wkraczać w prawa szkoły. P. P. zażalił się do regencyi w Bydgoszczy, a gdy ta nic nie odpowiedziała, do ministra oświaty w Berlinie. To poskutkowało, i w ostatnich dniach otrzymał p. P. następujące pismo:

„Podług wykazu rejestrów urzędu stanu cywilnego poprawna pisownia pańskiego nazwiska jest *Płotka*. Nauczyciele otrzymali wskazówki, aby odtąd w ten sposób pańskie nazwisko pisali.

pod. Maigatter“.

Wszyscy, którzy w podobnem położeniu znajdować się będą, powinni iść za przykładem p. Płotki.

* **Wiec „Straży“ w Szamotułach** zgromadził w niedzielę ubiegłą przeważnie obywateli miejskich, nie brakło jednakże gospodarzy okolicznych w charakterystycznych barwnych strojach narodowych. Zebranie zagaił pięknem i serdecznem przemówieniem starosta „Straży“ p. Edmund *Cynka*. Marszałkiem obrany p. *Kulcsza*, znany obywatel szamotulski, udzielił najpierw głosu p. *Józefowi Kościelskiemu*, prezesowi „Straży“, który w blisko godzinnej mowie określił stosunek Polaków od Niemców hakatystów, omówił obecne nasze położenie i stanowisko społeczeństwa do „Straży“. Wzniosłych słów jego słuchała rzesza zgromadzonych w skupieniu, a gdy zakończył wezwaniem, aby każdy prawy Polak wysoko dzierżył sztandar narodowy, nie zapominając o pracy codziennej, zerwała się burza oklasków, wstrząsająca ścianami sali. Stary rycerz, jak nazwano p. Kościelskiego od razu zjednał sobie serca wszystkich obecnych.

O celach „Straży“ mówił następnie p. *dr. Tadeusz Jaworski.*

W przerwie zarządzonej następnie zapisała się znaczna część zebranych na członków „Straży“.

Po odczytaniu przyjętego jednogłośnie protestu przeciwko niemieckiej nauce religii przez p. dra *T. Jaworskiego* przewodniczący wiec zamknął, wznosząc okrzyk na cześć przybyłych z Poznania mówców.

* **Ksiądz polski przed sądem.** W czwartek ubiegły stawał przed izbą karną w Bydgoszczy ks. *dr. Nelke* z *Fordonu* oskarżony o podburzanie do gwałtów i nawoływanie do nieposłuszeństwa wobec zarządzeń władz państwowych. „Przestępstwa“ dopatrzono się w mowie wygłoszonej przez oskarżonego na wiecu we Fordonie podczas walki wyborczej.

Prokurator wniósł o 400 marek kary. Oskarżony w znakomitej obronie pokonał prokuratora w zupełności i zdołał sędziów przekonać o swej niewinności.

Sąd po dwukrotnych naradach wydał wyrok uwalniający ks. dr. Nelkego od winy i kary. Koszta procesu nałożono kasie państwowej. Sprawiedliwość zwyciężyła!

* **Skazani redaktorzy.** Tutejsza izba karna skazała redaktora „Kuryera Poznańskiego“ p. *K. Ziółkowskiego* w dwóch przypadkach w myśl wniosku prokuratora na 230 marek kary za artykuły w sprawie strejku szkolnego.

W Gnieźnie skazał sąd ławniczy odsiadującego obecnie karę więzienną redaktora „Lecha“ p. *Karola Skworza* za obrazę landrata v. Ungera z Jarocina na 100 marek kary, a na 20 marek kary, lub 4 dni aresztu za to, że nie umieścił sprostowania przesłanego przez burmistrza w niemieckim języku.

Na 6 tygodni więzienia skazała grudziadzka izba karna redaktora

„Gazety Grudz.“ p. *L. Kowalskiego.* W artykule „Wojna z dziatwą polską“ dopatrzyła się prokuratorya obrazy całego ministerstwa pruskiego. W drugim przypadku oskarżony był p. redaktor Kowalski o podburzanie (§ 110). Prokurator wniósł o karę 3 miesięcy więzienia, lecz sąd uwolnił oskarżonego od winy i kary.

* **Dola redaktorów.** We wtorek zaczął odsiadywać w więzieniu w Opolu 4-miesięczną kaźń współpracownik „Gazety Opolskiej“ p. *Wróblewski*, skazany za rzekome przestępstwo prasowe. Redaktor „Gaz. Toruńskiej“ p. *Fr. Wojciechowski* udał się w środę do więzienia, by odsiedzieć pięciomiesięczną kaźń, której się nabawił w obronie dzieci szkolnych.

* **Sprzedawczyki.** W styczniu r. b. kupił p. Sylwester Jankowski z Mogilna gospodarstwo 12 morgowe od p. Jana Olszaka z Padniewka. Sąsiad Niemiec dawał Olszakowi kilkanaście set marek więcej, ale Olszak jako dobry Polak wolał sprzedać choć taniej byle swojemu. P. Jankowski sprzedał w tych dniach posiadłość powyższą Niemcowi hakatyście, zarabiając przeszło tysiąc marek. — Gospodarz L. Nowaczyk z Lulkowa sprzedał gospodarstwo swe, 195 mórg roli za 60 tysięcy marek komisyi kolonizacyjnej. „Spółka Rolników Parcelacyjna“, której ofiarował swe gospodarstwo, odpisała mu, że kupno tego gospodarstwa jest dla Spółki za ryzykowne.

* **Pielgrzymka Polska** do *Neviges (Hartenberg) z Düsseldorfu Gerresheim i okolicy.*

Stosując się do poprzedniego ogłoszenia dekanatu Esseńskiego z dnia 11-go sierpnia r. b. śmiemy donieść, iż i nasza okolica przyjmuje także współudział w Pielgrzymce Polskiej do cudownego miejsca; mamy zarazem zaszczyt donieść iż wyjeżdżamy z Düsseldorfu o godz. 8-mej 03 m., przybędziemy do Gerresheim o godz. 8-mej 12 m., a do Vohwinkel o godz. 8-mej 41 m. Z Vohwinkel wyjedziemy o godz. 8-mej 58 m., a przybędziemy do Neviges o godz. 9-tej 19 m. Przeto upraszamy Szanownych Rodaków i Rodaczki z Rath, Rathingen, Hilden, Benrath, Kalkun Solingen, Elberfeld i Barmen o przybycie mniejwięcej w tej samej godzinie do Neviges.

Szanowni Rodacy i Rodaczki zechcą zastósować się do powyższej wiadomości.

Uwaga: Do św. spowiedzi w kościele OO. Franciszkanów można przystąpić w każdym czasie; w kościele zaś św. Józefa, codziennie do 8-mej godz. z rana, w niedzielę zaś i święta przez dzień cały. — Rodaków i Rodaczki nie biorących udziału w Pielgrzymce prosi się o liczny udział na nabożeństwie i kazaniu polskiem w dniu 11-go sierpnia w klasztorze OO. Franciszkanów.

Komitet kościelny.
Jan Drygas, sekretarz.
Düsseldorf 27 lipca 1907 r.

* **Zjazd partyi socyalistycznej** *Król. pruskiego* odbędzie się dnia 21-go listopada b. r. w Berlinie przy Engel-Ufer 15. (Gewerkschaftshaus). Na porządku obrad: dotychczasowa działalność sejmu pruskiego — sprawa prawa wyborczego pruskiego — wybory do sejmu w r. 1908. — Socyaliści, jak widać gruszek w popiele nie zasypiają.

* **Wkoło Poznania** odbędą się w dn. 16-go do 21-go września specyalne forteczne ćwiczenia pod kierownictwem samego cesarza.

Nekrologia.

† Ś. p. *Edward Donimirski,* dziedzic Łysomic pod Toruniem, umarł dnia 30-go z. m. w powrocie z Kudowy do Łysomic. Wielką stratę ponoszą Prusy Zachodnie przez śmierć tego zasłużonego i zacnego obywatela. R. i. p.

† Ś. p. *ks. Brońkański.* We Wrocławiu zmarł na zapalenie płuc ks. Brońkański, proboszcz z Nowej Dąbrówki (przezwanej teraz Neuheim). S. p. ksiądz Brońkański urodził się w roku 1842, a święcenia kapłańskie otrzymał 1869 r. Proboszczem w Dąbrówce był od roku 1890, gdzie dzielił dolę i niedolę biednego ludu polskiego, narażonego tam, w bydgoskiej okolicy, na zatratę poczucia narodowego. Bronił ś. p. ksiądz Brońkański ludu tego w każdej dziedzinie, o ile tylko siły jego starczyły. Pracował gorliwie w kościele i w domu, łudząc się nadzieją, że doczeka się lepszych dla tego ludu czasów. Tymczasem śmierć przecięła pasmo życia tego niespospolitego bojownika. R. i. p.

† Ś. p. *ks. Konstanty Kucharski,* kapłan-jubilat-emeryt, dnia 26-go z. m. w Wolsztynie. R. i. p.

† Ś. p. *Franciszek Szuszkiewicz,* dnia 23-go z. m. w Poznaniu, skończywszy lat 53. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Sulimierski,* dnia 25-go z. m. w Dobrem w Król. Polskiem. R. i. p.

† Ś. p. *Nepomucena Garczyńska z Droszewskich,* dnia 26-go z. m. w Łabiszynie. R. i. p.

† Ś. p. *Konstanty Rewieński,* obywatel ziemski gub. mińskiej, dnia 24-go z. m. w Berlinie, przeżywszy lat 40. Zwłoki złożono dnia 1-go b. m. na cmentarzu powązkowskim, w Warszawie. R. i. p.

† Ś. p. *Józefa z Goetzendorf-Grabowskich Gierszewska,* dnia 25-go z. m. w Inowrocławiu. R. i. p.

† Ś. p. *Wincenty Tetzlaff,* doktor medycyny, dnia 30-go z. m. w Kórniku. R. i. p.

† Ś. p. *Józef z Parczewa Nałęcz Parczewski,* dnia 27-go czerwca r. b. w Krakowie w 82 roku życia. R. i. p.

Od Redakcyi.

Zarządowi Koła Śpiewackiego w Miejskiej Górce. — Notatkę, dotyczącą zeszłoniedzielnej zabawy, otrzymaliśmy za późno, t. j. w piątek, dnia 26-go z. m., już po zupełnem wydrukowaniu numeru ostatniego na dzień 28-go z. m., zatem nie mogliśmy zamieścić. (Patrz uwagę redakcyi zamieszczaną stale w każdym numerze na początku działu: „Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie“.).

Panu R. Czechowi w Wielowsi w Galicyi. — „Pracę“ do Galicyi wysyłamy w piątek rano, tak że w niedzielę powinna być na miejscu, a w każdym razie powinna na niedzielę dojść na czas do Galicyi zachodniej. Jeżeli nie dochodzi, to będzie to pewnie winą austryackiej poczty. Niech się Sz. Pan, gdzie należy, upomni. Serdecznie dziękujemy za wyrazy sympatyi i cieszymy się, że Sz. Pan intencye nasze tak dobrze pojmuje. Trzeba wierzyć, że dobre zwycięży, że więc i rozbicie Galicyi na partye i partyjki, które własnego a nie kraju szukają pożytku, się skończy. Bezprzecznie dobre pisma wiele się ku temu przyczynią. Za pomoc w rozszerzaniu „Pracy“ składamy Panu staropolskie „Bóg zapłać,“ zasyłając równocześnie serdeczne pozdrowienia.

Panu I. K. Z. — Dziękujemy — i prosimy o dalszą pamięć.



Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

21)

(Ciąg dalszy.)

— Zkąd i od kogo słyszał o panu? — pytał Barton uporczywie dalej.

— Od jednego z tutejszych kolegów, który miał w Londynie wyśledzić kogoś i który pojechał tam razem z panem Haroldem, nie spuszczając pana z oczu i donosząc o każdem twem nieomal poruszeniu Merrickowi. Człowieka tego poznałem w Londynie i od niego dowiedział się Merrick o mojem przybyciu tutaj pod nazwiskiem Coya, pisarza!

— Hm, hm — mruknął Barton nie zupełnie zadowolony. — Słuchaj teraz panie Fikson, musimy ci coś powiedzieć, co cię bardzo zainteresuje!

Przymknięte jak zwykle oczy detektiwa otworzyły się i błysnęły, lecz zaraz potem stała się twarz jego zupełnie znowu obojętną. Bez oznaku zdumienia słuchał tego, co mu Barton powiedział, poczem podniósł głowę i rzekł do Harolda:

— I tego dowiedziałeś pan się od pani La Grange?

— Tak!

— Kiedy, jeżeli wolno zapytać?

— Około szóstej!

— Zdaje się, że panowie nie wiecie jeszcze, że pani La Grange umarła!

— Umarła? — powtórzył Harold przerażony.

— Co? Umarła? — zawołali jednogłośnie adwokaci i stary Skott.

— Tak, około siódmej. Zażyła trucizny.

— I o tem dopiero teraz nam mówisz! — zawołał Sutherland. — Opowiadaj dalej! O czem jeszcze słyszałeś?

Fikson opowiedział wszystko tak jak słyszał, lecz Harold był tak wzruszony, że nic prawie nie rozumiał.

Gdy Fikson wspomniał o recenzencie dziennikarskim, którego widział wybiegającego z hotelu Wellingtona, zawołał stary Skott żywo:

— Panie Sutherland, staraj się zapobiedz temu, aby nazwisko Harolda nie było wmieszane w tę sprawę, i aby się gazety o tem nie rozpisywały. Nie szczędź kosztów! Masz pewnie znajomych w redakcyach...

— Owszem — przerwał Sutherland — mam znajomego, który wywiera potężny wpływ na całą tutajszą prasę. Pójdę natychmiast do niego.

— Uczyń pan to — odezwał się Harold, jak ze snu przykrego zbudzony — wiesz zapewne, ile mi na tem zależy, aby imię zmarłej nie zostało publicznie szarpanem i złączonem z imieniem mojem i mego ojca.

— Rozumiem to i zaraz wszystko załatwię, jutro zaś przyjdę tu, aby się dowiedzieć o dalszych zamiarach Fiksona. Dobranoc!

Godzinę później opuszczał Fikson hotel Waldorfa, aby stosownie do swego ułożonego planu zamieszkać w innej części miasta.

— Posłałeś pan pisarza swego Coya do Londynu po ważne papiery — rzekł z uśmiechem do Bartona — a gdybyś mnie pan kiedy spotkał na ulicy, o czem wątpię, proszę mnie nie poznawać. Jeżeli będę miał coś do powiedzenia, to dam panu znać w jakikolwiek bądź sposób!

Pomiędzy dwoma aktami.

Przez kilka następnych dni była historya sukcesyi Mainwaringów prawdziwem źródłem sensacyjnych wiadomości.

Po samobójstwie pani La Grange nastąpiło bezpośrednio zniknięcie Ryszarda Hobsona. Znikł on bez śladu tak, że w żaden sposób nie można było odkryć kierunku, w jakim uciekł. Niektórzy twierdzili, że ucieczka jego stoi w styczności z samobójstwem pani La Grange, a dużo było takich, którzy odgadywali słusznie, że obydwa te wypadki łączą się z tragicznym i niewyjaśnionym dotąd jeszcze wypadkiem w Chesnes.

Ale wszystko to było niczem w porównaniu z wiadomością, że nowo znaleziony testament zaczepiony został przez Ralfa Mainwaringa i uznany za sfałszowany. Mówiono także, że syn Ralfa, Hugon, zrzekł się pretensyi do majątku i usunął się z całej tej sprawy, że pokłócił się o to z ojcem i wynajął sobie inne mieszkanie. Jednem słowem — proces Mainwaringów nie przestawał zajmować publiczności ani na chwilę. Ale o bohaterze tego dramatu mało ludzie wiedzieli. Pogrzeb pani La Grange odbył się zupełnie cicho, tylko ksiądz i synowie zmarłej szli za trumną. Po wszystkich poprzednich wypadkach spotkali się tutaj Harold i Valter po raz pierwszy.

Gdy Valter wszedł do kaplicy cmentarnej, w której stała trumna, zbliżył się do stojącego przy katafalku brata i szepnął:

— Czy prawda, że — że ty jesteś moim bratem?

— Tak!

— Ach, więc nasza matka była jednak tak złą i...

— Milcz, — przerwał Harold surowo, — nie masz prawa sądzenia jej!

— Była ona złą względem ciebie, — szeptał chłopiec ze łzami w oczach, — ale ty nie znałeś jej i możesz jej wybaczyć i zapomnieć o wszystkiem, tobie nowe otwiera się życie, pełne szczęścia i blasku, a ja... Ja jestem żebrakiem nie znam ojca, nie wiem gdzie go szukać — nic — nic — nie wiem nawet, czy nazwisko jakie noszę, należy mi się......

Rozpacz chłopca wzruszyła głęboko Harolda.

— Valterze, — rzekł, ujmując jego rękę, — pojmuję twój ból i smutek, ale nie powinieneś wątpić o twej przyszłości. Bądź mężnym i odważnym, życie dużo ci jeszcze szczęścia dać może. Pozyskaj sobie szacunek ludzi, na moją pomoc zawsze liczyć możesz! Będę ci wiernym bratem i opiekunem.

Valter z niedowierzaniem spojrzał na niego — nigdy jeszcze nie słyszał słów tak serdecznych! Ale twarz Harolda tchnęła taką szczerością, uścisk jego ręki był tak gorący, że wszelkie powątpiewania rozproszyły się natychmiast.

— Doprawdy! — wyjąkał z cichem łkaniem, — doprawdy, ty mnie przygarniesz do siebie? A ja myślałem, że ty właśnie odwrócisz się odemnie i wyprzesz się takiego brata......

— Gdybym się ciebie kiedykolwiek miał wyprzeć, to byłoby jedynie twoją winą. Dopóki zasługujesz na mój szacunek, jesteś miom drogim bratem w obec całego świata!

Walter otarł łzy i dumnie podniósł głowę.

— Nie potrzebuję się wstydzić podania ci ręki, — rzekł stanowczo, — i jeżeli chcesz mi pomódz, to nigdy tego nie pożałujesz! Będę pamiętał zawsze o tem, abyś się mógł poszczycić bratem!

Kilka dni później wyjechał Walter do Chicago, Harold umieścił go tam w jednym z największych banków.

Obie strony walczących przygotowywały się tymcza-

sem do rozstrzygającej walki. Obie zbierały gorliwie materyał dowodowy; w hotelu Waldorfa odbywały się przy zamkniętych drzwiach nieustanne narady i telegramy rozsyłano na wszystkie strony świata. Pan Sutherland zdawał się występować w kilku osobach naraz, widywano go prawie równocześnie na rozmaitych ulicach i podziwiano jego niezmierną pilność i wytrwałość. Głównem jego zadaniem było przełożenie publicznej rozprawy na termin jak najdalszy, i pewnego dnia wbiegł do pokoju Bartona w wybornym humorze i zawołał:

Dzięki Bogu, osiągnąłem cel! Termin zostanie wyznaczony dopiero na początek grudnia!

— Wybornie! — pochwalił Barton.

— Mianowicie ze względu na treść tej depeszy! Czytaj pan!

Barton rozłożył papier.

— Co u licha! — zawołał, — Fikson opuścił miasto! To coś znaczy!

— Bardzo wiele! Zapewne znalazł ślad — a to uniego tyle, jak gdyby już zwierzynę miał w rękach!

— Wiesz pan, — roześmiał się adwokat, zacierając z radości ręce, — ten dramat zakończy się bardzo efektownie! W całej mojej dwudziestoletniej praktyce jeszcze mi się coś podobnego nie zdarzyło!

Sutherland roześmiał się, a Barton dodał jeszcze:

— Brat mój podziela zupełnie zdanie pana. Telegrafował mi dziś, żądając, abym mu doniósł dzień ostatniej walki, bo za nic w świecie nie chciałby się pozbawić przyjemności słuchania naszych, a raczej naszego świadka!

Wszystko szło dalszym trybem. Wbrew oczekiwaniu przyjął Ralf wiadomość o przedłużeniu terminu do grudnia bardzo spokojnie i nie robił panu Whiteney żadnych zarzutów.

Teraz panowało zawieszenie broni!

Handlarz dyamentów.

Zimny, ponury dzień grudniowy miał się ku końcowi, gdy pospieszny pociąg jednej z najbliższych linii kolejowych w Ameryce zajechał wśród wichru i deszczu przed długi i nizki dworzec miasta G. Pociąg nie stanął jeszcze, a już z platformy wagonu pierwszej klasy zeskoczył lekko i zręcznie jakiś mężczyzna, i przesuwając się pomiędzy zgromadzoną na peronie publicznością, ukrył się w cieniu szeroko otwartych drzwi poczekalni. Nikt nie zważał na niego, tem więcej on obserwował wysiadających z wagonów.

Z jednego z ostatnich przedziałów wysiadł teraz wysoki, tęgi mężczyzna, otulony futrem, z czapką nasuniętą na twarz, i przeszedł szybko koło niego.

— Aha! — szepnął, — trzeba iść za nim!

I wyszedłszy z ukrycia, pobiegł naprzód, lecz umiał się urządzić tak, że stanął równocześnie z mężczyzną w futrze przy najpierwszej dorożce i słyszał wyraźnie podany dorożkarzowi adres:

— Jeffersonstreet 545.

— No, mamy lisa w jamie! Nareszcie! — zapisując sobie adres w notesie.

Blade światło latarni oświecało jego twarz, był to mężczyzna średniego wzrostu, o twarzy dosyć pospolitej, zeszpeconej nieco mocno skrzywionym nosem i bardzo gęstym, czarnym wąsem. Po zapisaniu adresu wsiadł również do dorożki i kazał się zawieść do hotelu Moora, a przybywszy tam, zażądał najlepszego pokoju i zapisał się w przedłożonej sobie księdze przyjezdnych jako A. Rosenbaum z Berlina. Potem udał się do sali jadalnej, po kolacyi zaś poszedł do wspólnego salonu, i zebrawszy wszystkie możliwe gazety angielskie i niemieckie, usiadł przy osobnym stoliku. Pan Rosenbaum był ubrany bardzo starannie, a na małym palcu lewej ręki błyszczał przepyszny rubin otoczony brylantami. Równie piękne rubiny i brylanty miał jako guziczki przy koszuli. Czytał gazety z wielkiem zajęciem, lecz ile razy wszedł ktoś do pokoju, podnosił oczy i szybkiem spojrzeniem badał wchodzącego.

Po upływie godziny odetchnął uradowany — na progu bowiem ukazał się ten sam mężczyzna, który już na dworcu zwrócił jego uwagę na siebie.

Nowoprzybyły obejrzał się i usiadł także przy osobnym stoliku, w bliskości pana Rosenbauma. Włosy jego i długa broda były już siwe, oczy miał zakryte grubemi niebieskiemi okularami. Usiadłszy plecami do światła, wyjął z kieszeni paczkę papierów i zaczął je przeglądać.

Miasto G. leżało na dalekim Wschodzie i zawdzięczało swe istnienie kopalniom złota. Zjeżdżali się tu ludzie z całego świata, szukający kosztownego tego kruszcu, to też nie zbywało i na kupcach, którzy zawierali układy na miejscu, a że w ostatnich czasach znajdowano w kopalniach drogie kamienie, przeto handel kwitnął tu na dobre.

Po chwili zbliżył się hotelista do pana Rosenbauma i rzekł:

— Wyszukałeś pan sobie złe powietrze na zwiedzenie naszego miasta. Pan tu pewnie zupełnie obcy?

Rosenbaum podniósł głowę, wzruszył ramionami i odpowiedział czysto niemieckim akcentem:

— Gdybym się chciał troszczyć o powietrze, to bym daleko nie zaszedł.

— To prawda, kto dużo podróżuje, musi się zgodzić na wszystko, ale w tak pięknej okolicy jak nasza, chciałoby się też coś wiedzieć! Czy pan tu dłużej zostanie?

— Zależy od interesu!

— Aha, rozumiem. Z czem pan jeździsz?

Zamiast odpowiedzi podał mu Rosenbaum kartę swej firmy z napisem:

„Bracia Rosenbaum, Berlin, kupowanie i wymiana brylantów".

— Ej, ej, handlarz dyamentów! Proszę, proszę! — zawołał hotelista i ukłonił się nisko. — Ale nie wiem, czy teraz właśnie znajdziesz pan tu odbiorców!

Rosenbaum uśmiechnął się.

— Ja też nie szukam kupca — rzekł — tylko chcę sam zakupić kamienie. Nasz interes bardzo jest rozgałęziony. Mamy filie w Paryżu, Londynie i Nowym Yorku i dla wszystkich ja sam kamienie kupuję.

— Tutaj? Ach panie, tu pan nie znajdziesz tego, czego szukasz.

— No, to pojadę dalej! Ale piękne kamienie znajdowałem już nieraz w mniejszych miejscowościach, przypadek odgrywa nieraz bardzo ważną rolę. Czemu nie miałbym i tu szczęścia spróbować?

— Zapewne, jeżeli pan tak myślisz, to co innego! Bo wszędzie są ludzie, którzy będąc bogatymi stracili wszystko i zachowali jeszcze jakie skarby...

— Tak jest, są też jednak i tacy, którzy czekają tylko na sposobność zawarcia interesu i zjawiają się natychmiast, gdy słyszą o kupcu, mającym gotówkę. Dlatego ten i ów sprzedaje kamienie, o to my się nie troszczymy. Bierzemy bez pytania to, co nam się podoba!

Po tych słowach wstał Rosenbaum i zdjął płaszcz z gwoździa.

— Chcesz pan jeszcze wyjść na miasto? — zapytał hotelista.

— Tak!

I wyszedł z sali, przekonany, że sąsiad jego słyszał każde słowo tej rozmowy, pomimo pilnego na pozór czytania. W loży portyera przejrzał książkę adresową, potem otworzył drzwi i stanął na ulicy.

— Psie powietrze — mruknął, przechodząc na drugą stronę.

Doszedłszy do rogu, skręcił na lewo i szedł dopóty, dopóki nie znalazł się na zupełnie pustej, wąskiej uliczce. Tu stał się innym znowu człowiekiem. Zamienił miękki filcowy kapelusz na lekką czapkę, i włożył na oczy złote okulary, a zbliżywszy się do jednego z rogowych domów, spojrzał na numer i zadzwonił mocno. Po chwili dały się słyszeć w sieni powolne stąpania, drzwi otworzyły się i na progu stanęła bardzo brzydka stara kobieta, zasłaniając ręką świecę od przeciągu.

— Dobry wieczór pani — zawołał Rosenbaum wesoło. — Można zobaczyć pana Loweringa?

— Żaden Lowering tu nie mieszka — odrzekła stara i już chciała zatrzasnąć drzwi, lecz Rosenbaum wszedł prędko do sieni.

— Pozwól pani, chwilę tylko — zaczął uprzejmie. — Czyżbym się miał omylić w ulicy lub numerze domu?

I wyjmując z kieszeni kartkę, przeczytał:

— J. D. Lowering. Jeffersonstreet 545. Czy ten dom nie ma numeru 545?

— Tak jest, ale Lowering tu nie mieszka! Mój lokator nazywa się Mannering!

— Mannering, Mannering... — powtarzał Rosenbaum zamyślony — w takim razie musiałem nazwisko fałszywie zapisać! Jak wygląda pan Mannering? Może poznam go z opisu — czy to ten, którego szukam!

— Bardzo by mnie to dziwiło — mruczała stara rozgniewana, i spojrzała podejrzliwie na nieznajomego gościa. — Mój lokator nie wiele tu ma znajomych, nikt jeszcze u niego nie był. Jest on nie młody, bo włosy i broda są prawie siwe i nosi zawsze ciemne okulary.

— Aha — nie, to nie ten sam! Ten, którego szukam jest młody i włosy ma zupełnie jasne! No, nie gniewaj się pani, że cię daremnie trudziłem. Dobra noc!

Gdy stanął na ulicy, obejrzał pan Rosenbaum raz jeszcze dokładnie dom i najbliższe jego otoczenie. W sąsiedztwie nie było innego budynku z wyjątkiem jakiejś starej szopy, której powierzchowność wskazywała, że nikt w niej mieszkać nie mógł. Ale mogła służyć doskonale za punkt obserwacyjny, to też Rosenbaum postanowił przekonać się najpierw, czy w niej rzeczywiście nikt nie mieszka. Drzwi zawieszone tylko na zawiasach otworzyły się natychmiast — i Rosenbaum ucieszył się, gdy wszedłszy do wnętrza szopy nie znalazł żadnego śladu ludzkiego w niej mieszkania. Przez stłuczone małe okienko mógł bardzo dokładnie obserwować dom pod numerem 545.

Rosenbaum usiadł na jakimś kawale drzewa przy oknie i czekał przeszło godzinę. Nareszcie ujrzał zbliżającego się tego, którego tak niecierpliwie oczekiwał. Mannering, bo tak nazywał się rzeczywiście lokator starej kobiety, otworzył drzwi domu i zaraz potem zajaśniało światło w jednem z okien pierwszego piętra, wychodzącego właśnie na szopę. Chociaż mieszkaniec pokoju zapuścił natychmiast rolos, wystarczyła jedna chwila, w której światło zajaśniało, aby rozpoznać jego wysoką postać — twarzy natomiast, na której teraz już okularów nie było, nie mógł Rosenbaum wyraźnie dojrzeć. Przed stanowczym krokiem postanowił więc raz jeszcze przekonać się, czy nie ma tu jakiej omyłki...

Następnego wieczora udał się znowu do swej kryjówki i ujrzał to samo okno oświetlone tak, jak dnia poprzedniego. W przyległym pokoju było też jasno, lecz światło zdawało się pochodzić tylko od ognia na kominku. Po tych obydwóch pokojach przechadzał się Mannering, z rękami założonemi na plecach i pochyloną głową. Po upływie mniej więcej dziesięciu minut zatrzymał się, zdjął z powieszadła futro i kapelusz, wyszedł z domu i zwrócił się zaraz w stronę miasta.

Rosenbaum szedł za nim w pewnem oddaleniu i dopiero na ulicach więcej ożywionych zbliżył się do niego tak, że znajdował się tuż koło niego. Nagle stanął Mannering przed jakąś restauracyą, obejrzał się i spostrzegł Rosenbauma, który z wielkiem zajęciem przyglądał się towarom jubilerskim, wyłożonym w oknie. Przez chwilę patrzał uważnie na niego, potem wszedł do restauracyi, ale przez zwierciadła, zawieszone na obydwóch ścianach sali, mógł Rosenbaum obserwować każde jego poruszenie.

I gdy Mannering wybrał sobie miejsce, wszedł Rosenbaum także do sali, i z wyrazem twarzy roztargnionego człowieka, który wiecznie o czemś ważnem myśli i na nic innego nie zważa, usiadł przy jego stoliku. Obojętnym tonem zamówił sobie kolacyą, i nie patrząc wcale na swego sąsiada, rozłożył gazetę i zaczął czytać. Ale myśli jego zajmowały się wyłącznie tym, który siedział obok niego, którego śladów szukał od tylu tygodni i którego nareszcie znalazł, pomimo, że człowiek ten zmieniał co kilka dni miejsce pobytu, ubranie i nazwisko. Raz, przy składaniu gazety, podniósł niby nieumyślnie głowę i zauważył, że Mannering wpatruje się w niego tak uporczywie, że go to zniewoliło do zapytania, czy może mu służyć gazetą.

— Nie — odrzekł Mannering uprzejmie, widocznie rad z odezwania się Rosenbauma — czytałem już wszystkie wieczorne dzienniki. Ale widzę, że kuchnia w hotelu Chiftona nie zyskała zadowolenia pana!

— O, czemu nie? Ale ja lubię zmianę! Zkąd pan wiesz jednak, że mieszkam w hotelu Chiftona? Nie przypominam sobie, abym był miał przyjemność widzenia pana tam!

— A przecież siedzieliśmy wczoraj wieczorem blisko siebie!

— Doprawdy? W takim razie wybacz pan! Uważam tak mało zawsze na moje otoczenie i nie mam pamięci co do twarzy!

— A ja znowu mam pod tym względem wyborną pamięć — uśmiechnął się Mannering — poznaję natychmiast każdego, kogo raz w życiu widzę! Pana też już musiałem kiedyś widzieć!

— Rosenbaum roześmiał się głośno.

— Może być, bo ja ciągle podróżuję! Mnie wszędzie spotkać można! Czy i pan jesteś kupcem?

— Nie — odrzekł Mannering wolno, lecz z widoczną ulgą. — Nie jestem właściwie kupcem w znaczeniu tego słowa, ale jestem tu dosyć zaangażowany przy kopalniach i zaglądam tam raz po raz. A panu jak się powodzi? Słyszałem jak opowiadałeś wczoraj hoteliście, że jesteś handlarzem dyamentów.

— Tak i śmiało mogę powiedzieć, że pracuję ciężko, bo chociaż dyamentów jest aż nadto na świecie, to takich, jakich ja szukam, wielkich, bez skazy, nie wiele znaleść można. Dotychczas nic jeszcze nie znalazłem — nic, coby wystarczało, dla tego też nie myślę tu dłużej siedzieć. Jutro w dalszą wybieram się drogę!

Po rzuceniu takiej przynęty, zabrał się Rosenbaum spokojnie do zjedzenia kolacyi, podczas kiedy Mannering

mechanicznie rysował widelcem figury na obrusie. Nareszcie spojrzał przenikliwie na Rosenbauma i rzekł wolno:

— Wiesz pan, o dwa albo trzy nadzwyczajne brylanty mógłbym się panu wystarać, jeżeli zapłacisz za nie dobrze. Mają one niezmierną wartość!

— Ah, w takim razie zrobimy interes! Za dobry towar płacę dobrze!

— Są to bardzo piękne i kosztowne kamienie. Mój przyjaciel, który je posiada, jest wielkim znawcą i nie żądałby za nie więcej, niż są rzeczywiście warte.

— Przyjaciel pana pragnie je sprzedać?

— Zdaje mi się, ale pod warunkiem, aby się nikt o tem nie dowiedział.

— Dyskrecya jest u nas zasadą. Jeżeli przyjaciel pana chciałby się ze mną widzieć, to bardzo bym się cieszył...

— Wątpię, czy on sam przyjdzie — nie mieszka on bowiem tutaj. Spotykam go w kopalni i zaraz jutro powiem mu... Jeżeli chce sprzedać kamienie, to mi je da i pozostawi mi wszelką wolność działania. Chodzi tylko o to, czy pan chciałbyś zaczekać jeszcze jeden lub dwa dni?

— Jeżeli kamienie dostanę — chętnie.

Mannering prosił go więc, aby za trzy dni przybył tu znowu o tej samej porze, poczem rozstali się obydwaj jak dawni znajomi.

Gdy Rosenbaum dziś usypiał, było ostatnią jego myślą obawą, czy Mannering przyniesie kamienie.

— Ach, przyniesie, musi przynieść, — pocieszał się sam, — a potem niech Bóg broni, aby mi ten drugi w drogę nie wszedł! On wszystko mi psuje.

Przez następne dwa dni chodził Rosenbaum do każdego przychodzącego pociągu na dworzec i obserwował przyjeżdżających. Ale pomimo całej przebiegłości, uszło jednak uwadze jego przybycie skromnego, niepozornego człowieka, który przyjechał drugiego dnia nad wieczorem, stanął w hotelu Windsor i zapisał się tamże jako „A S. Johnson z Chicago.“

Tego samego jeszcze wieczora przeszedł się Johnson także po mieście i wstąpił do hotelu Chiftona. Był to człowiek gadatliwy i uprzejmy i nawet dowiedzieli się wszyscy goście na sali, że przybył na Wschód, aby umieścić korzystnie pieniądze na akcyach kopalń. Mieszkańcy miasta lubili takich gości i kilku obywateli, siedzących blisko niego, ofiarowało się natychmiast zaznajomić go jutro z najbogatszymi posiedzicielami kopalni i najrzetelniejszymi spekulantami. Ale Johnson uśmiechnął się chytrze i dziękował za tę uprzejmość, twierdząc, że obejrzy sobie sam najpierw kopalnie , a potem zasięgnie wiadomości od przyjaciół, z którymi ma się tu spotkać.

— Zresztą, — dodał po chwili, — może który z panów zna niejakiegoś Manneringa, który też tu podobno ma kopalnią!

— Mannering? Czekaj pan... — odrzekł jeden z obywateli namyślając się, — tak, nazwisko to słyszałem niedawno, ale czy w kopalniach, tego już doprawdy nie wiem. Zdaje mi się, że mówiono, że to bardzo majętny człowiek!

— A to może ten sam, którego mam na myśli. Wiesz pan, jak on wygląda?

— Nie widziałem go nigdy, ale powiadano, że nie młody już, wysoki, tęgi i ma włosy i brodę dobrze już szpakowate. Nosi niebieskie okulary, nie żyje z nikim, mało mówi — jednem słowem ma to być dziwak w całem znaczeniu tego słowa!

— Wszystko się zgadza, — rzekł Johnson, podczas kiedy inny z obecnych zawołał:

— Ach ten — widziałem go przedwczoraj wieczorem w Cafe Royal. Siedział tam z tym handlarzem brylantów z Berlina, który tu mieszka!

— To, to, hm... — szepnął Johnson, poczem zwrócił się do hotelisty:

— Więc ten handlarz dyamentów mieszka u pana?

— Tak, nazywa się Rosenbaum. Znasz go pan?

— Nie, ale zdaje mi się, że spotykałem go w moich podróżach! Więc on handluje kamieniami! Podpadło mi to, że ma bardzo kosztowny pierścionek i wspaniałe guziki przy koszuli!

Rozmowa zwróciła się teraz na inny temat, a gdy Johnson wracał do domu uśmiechał się sam do siebie, i w świetnym był humorze.

— Wybornie! — mówił sobie w duszy, — dwie muchy zabiję jedną klapką. Podczas całej tej podróży nie spotkałem jednego z nich samego — zawsze są obydwaj razem! Musiałbym się bardzo mylić, gdyby to nie byli dwaj towarzysze, którzy pracują do spółki. Muszę ich dostać w moje ręce, teraz już mi nie ujdą!

Następnego wieczora siedział Johnson przy oknie czytelni, leżącej naprzeciw Cafe Royal i obserwował uważnie wszystkich, którzy do kawiarni wchodzili. Był on tam już przedpołudniem i widział, że część wielkiej sali podzieloną była portyerami na osobne małe przedziały, bardzo stosowne dla tych gości, którzy chcieli być sami. Urządzenie to podobało mu się niezmiernie, mogło bowiem w danym razie służyć jego zamiarom. A pan Johnson bardzo był ostrożny!

Szczęście sprzyjało mu też nadspodziewanie, wcale długo czekać nie potrzebował na ukazanie się pana Manneringa. Równocześnie przyszedł z drugiej strony Rosenbaum — obydwaj przywitali się na ulicy bardzo uprzejmie, poczem weszli razem do kawiarni. Kilka minut później wyszedł Johnson z czytelni i udał się tam również, a skinąwszy na kelnera, zapytał go, czy są jeszcze jakie przedziały niezajęte.

— Mam się tu spotkać z znajomymi, — dodał — i chcielibyśmy być sami.

— Właśnie przyszło tu dwóch panów, — odrzekł kelner, — i zażądali także osobnego przedziału. Mają numer trzeci! Może to są ci, których pan oczekujesz?

— Nie, oni przyjdą trochę później. Mógłbym dostać numer czwarty?

— Tak — naprzeciwko trzeciego...

— Powiedz pan kelnerom, aby mi nie przeszkadzali! Chcę być sam!

— Bardzo dobrze!

Johnson wszedł do numeru czwartego i zasunął starannie portjery, lecz tylko przy największem natężeniu słuchu mógł zrozumieć to, co mówiono w numerze trzecim. Słyszał, że kelner przyniósł jakieś potrawy, i że mu jeden z panów powiedział, aby nie przychodził prędzej, dopóki na niego nie zadzwonią. Potem zapanowała tam cisza — obydwaj widocznie jedzeniem byli zajęci.

Ale pod tym względem mylił się Johnson, bo Mannering nie jadł prawie nic i Rosenbaum odsunął wnet talerz.

— Cóż więc powiwedział przyjaciel pana? — zaczął Rosenbaum, opierając ręce na stole.

Milcząc, wyjął Mannering z kieszeni małe pudełko i podał je kupcowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W Tatrach.

Nad cichym stawem.

Kłęby gęstej, śliskiej mgły przetaczały się w czarnych otchłaniach wśród ciszy, która przerażała więcej, niż gdyby ze środowiska chaosu dawały się słyszeć gromy. Czasem na krótki moment przerywała się nieubłagana gęstwa i wówczas luka zabarwiała się ciemno-modrą plamą jeziora, leżącego o tysiąc metrów poniżej. Przed czterema godzinami opuściliśmy jego brzegi, upstrzone grupami turystów, którzy porozsypywali się dokoła, jakby chcąc własnymi krokami zmierzyć łudzące rozmiary Morskiego Oka i hałasowali zawzięcie, urągając mistycznej, rozwieszonej nad wodami ciszy. W chwili, gdy osiągnęliśmy najwyższy punkt drogi przez przełęcz Mięguszowiecką, zwaliły się gwałtownie białe oceany chmur i zalały w oka mgnieniu barwny kraj, spowiły zimnemi objęciami strzeliste turnie, wypełniły przerażające otchłanie i zakryły wszystko, na czem tylko mogło spocząć oko. Tuż pod stopami i nad głową pełzały po ścianach skalnych białe, rozstrzępione macki potworu, obejmującego w posiadanie wszechświat.

Turysta wydobywszy się z otchłani, wstępuje wnet w drugą, otwierającą się po przeciwnej stronie przełęczy. Góral przewodnik nurknął pierwszy w białej toni mgieł i tylko szelest lecących w dół kamieni daje znać o nim, a zdradzają jego stopę ślady, wyduszone „kierpcami‟ na świeżym śniegu, który zaścielił zbocza górskie przed dwoma dniami. Nużące i monotonne, a bez kresu trwać się zdające schodzenie, przerywane jedynie krótkiemi chwilami postoju, usypia niemal i rozmarza wędrowca, tak, jak jednostajny hurgot kół wagonu kolejowego. W końcu kroki stają się zupełnie mechaniczne a wytężenie mięśni przestaje być świadomem. Można w takich chwilach śnić na jawie i marzyć tak cudnie, jak nigdy w bezwzględnej ciszy i spokoju. Tak cię unoszą, zda się, balsamiczne wonie, płynące od szerokich łanów kosodrzewiny i drzemiących na skałach mchów, tak cię łagodnie pieszczą powiewy z jaśniejących po za mgłami dolin dalekich, że dusza w tem półuśpieniu zmienia się cała w melodyę słodką i barwną i cichą, jak pieśń rzucona przez poruszane wiatrem kwiatów kielichy.

Krok za krokiem, zwolna i systematycznie pochłania się w Tatrach przestrzenie ogromne i czasem trudno wierzyć, gdy odwrócimy oczy, że własne stopy zniosły nas z tych olbrzymów, których spiętrzone masy zdają się rosnąć jeszcze bardziej wśród szarości zmierzchu. Tarasami schodzi dolina coraz niżej i czarne przestrzenie leśne, znajdują się już prawie na poziomie oka, zdradzają niedaleki kres dziennej drogi. Z nastaniem wieczoru i mgły rozwiały się gdzieś niespodzianie, a ponad doliną na szarej polaci nieba zapalały się zwolna gwiazdy. Niedługo zaczerniły tuż pnie pierwszych drzew. Były to limby nad Popradzkiem jeziorem.

Trzeba przebyć tych ośm godzin wśród zupełnej dziczy, trzeba uczuć w około siebie nieskończony ocean głazów i patrzeć z tęsknotą w oddalone głębie dolin, by zrozumieć, z jakiem to później uczuciem wita się te drzewa, pierwsze zwiastuny świata. Człowiek dolin nigdy nie rozstaje się z nim i nie zna tęsknoty za życiem, od którego tu w górach ucieka dobrowolnie, by powrót do niego okupić wysiłkiem woli i energią fizycznej pracy. Spojrzawszy za siebie na przebyte przestrzenie, z grozą i lękiem myśli o powrocie na górne tarasy i z litością o tych, którzy porają się tam w mrocznej dali z trudami bezdroża wśród granitowych złomów.

Nie długo trwa rozkoszne rozlenienie na tarasie schroniska, o którego ściany pluskają fale jeziora. Kresem naszej wędrówki jest „Szczyrbskie jezioro‟, położone o godzinę przeszło drogi poniżej, tam w cichej, oblanej światłem księżyca równinie, ku której tęsknie rwą się oczy, a za niemi dusza cała. Zanurzamy się w ciemny labirynt lasu i tylko blask latarki, niesionej przez przodem idącego górala, oświeca niewielką przestrzeń ścieżki i rzuca niewyraźne blaski na ociekające żywicą pnie i gałęzie, zwieszające się uroczystymi festonami nad głową. W parowie huczą spienione wody potoku płynącego od Popradzkiego, a lekkie pajęczyny wieczornej mgły błękitnej plączą się wśród sennych wierzchołków drzew.

Idziemy raźno, znajdując pewną rozkosz w tym regularnym marszu arcywygodną ścieżką, aż wreszcie przebłyskujące między drzewami światła zwiastowały nam kres podróży i jakiś lekki a niesłychanie przyjemny skurcz serca, doznawany przy nadejściu długo oczekiwanej chwili, odezwał się na widok regularnych zarysów will, okalających ciche jezioro.

Wierzyć się nie chce oczom! Ponad strumieniami porozwieszane kładki i mostki, wyszutrowane ścieżki wiodą ku hotelom. Ten nagły, jakby nieoczekiwany kontrast dziczy i cywilizacyi, oszołamia w pierwszej chwili tak, iż wydaje się wprost złudzeniem. Gdy zaś przejdzie już to wrażenie, napływ niezmiernej ulgi rozpiera całą istotę, gdyż droga przebyta i jej niesłychane trudy są już za nami i należą do

szeregu wspomnień. I o dziwo! Choć wspomnienie to przejmuje strachem, gdzieś na dnie duszy budzi się żal... i gdy już w pokoju hotelowym zmęczone powieki zamkną się, przed oczyma turysty przesuwa się cudna panorama turni, żlebów, śnieżystych płatów i seledynowych tarcz stawów. Bezładne te wizye przewalają się w mózgu nieskończenie długim szeregiem, lecz oko duszy mimo to nie zdoła uchwycić drobnego ich szczegółu, gdyż tak szybko znikają, jak się zjawiły, zostawiając za sobą serdeczną jakąś tęsknotę.



W Tatrach.

W nocy wstał wicher z pod kamiennych stóp olbrzymich sarkofagów górskich, z czeluści żlebów i rozpadlin skalnych. Porwał się w bary z tytanami, czuwającymi u bram dolin tatrzańskich, uderzył w lasy, napełniając je dzikiem tętnem i przerażeniem, a potem zmarszczył i zmącił tonie stawu. Pogwizdy jego rozhukane, rozlegały się przez długie godziny, a potężne podmuchy wstrząsały podstawami domów. Dopiero wraz z pierwszym brzaskiem wschodu zniknął gdzieś, gdyż dobroczynne słońce, chcąc, by je świat powitał pogodny i radosny, nakazało wichrowi wrócić do swych tajnych kryjówek.

Różowe blaski padły najpierw na wierzchołki śnieżnych szczytów i rozpaliły je na kształt trociczek, poczem schodziły na zbocza, na regle, na lasy i zadrgały wreszcie na toniach stawu; te zaś splotły z nich złotą taśmę, która wlokła się odtąd za słońcem.

Zdawało się, że wraz z tem słońcem wpłynął na świat jakiś oddawna oczekiwany dzień, w którym spełnią się rzeczy wielkie i uroczyste. To, co kiedyś jeszcze w dalekiem dzieciństwie widziało się we śnie, nasuwa się rzewnem przypomnieniem i wzbudza się wiara, że wszystkie tęsknoty życia, wszystkie nawpół tylko kiedyś odczuwane pragnienia, obleką się wkrótce w kształt i formę i podsuną się blisko przed oczy. W tem uroczem oczekiwaniu budzi się poraz pierwszy nad wyraz błoga świadomość istnienia prawdziwego szczęścia, a raczej przeczucie, że jest ono gdzieś blisko i gdyby tylko przeciągnąć tę chwilę dłużej... w nieskończoność...



Nad jeziorem.

Przepyszny las, przypominający jakiś wielki, wspaniały park, otacza zieloną, nieprzejrzaną gęstwą kryształy stawu, jakby chcąc ukryć w swem ciemnem łonie kamień drogocenny. Ponad brzegiem zwieszają się zroszone poranną wilgocią namioty gałęzi świerkowych, przez które przesiewają się promienie słońca i rzucają niewyraźne, drżące plamy na darń i ścieżyny. Powyrzynane w różnych kierunkach wiodą one do tajnych misteryów zadumania. Rzadko usłyszeć można szelest kroków ludzkich; — czasem przejdzie cicho turysta jakiś, prowadzony przez zielonego przewodnika, zdążając ku głębiom lasów, lub samotnie przechadza się smukła Węgierka, spalona wichrami szerokich puszt, z oczyma barwy granatu.

Widziałem raz jeszcze Szczyrbskie jezioro zdala, ze szczytu Wysokiej w letni, cudnie pogodny dzień, gdy słońce przewinęło się już ponad granicami na polską stronę Tatr i oświetlało ukośnymi promieniami doliny węgierskie, rzucając w nie wydłużone cienie gór. Wydało mi się wówczas dziwnie ponętnem to ustronie, dziwnie spokojnem i rozmarzonem, odsunięte od zgiełku i powszedniości. I choć nierównie większy spokój bezwzględnej pustki panował we wszystkich dzikich kotlinach, wydało mi się, że tam nad tym dalekim stawem o wiele lżej byłoby duszy, niż w ścieśnionych dolinach, leżących w głębi gór. Jest tam taras otwarty z południowej strony tak, iż oko może przebiegać po całej u stóp rozłożonej krainie, jak po wielkiej ma-

pie, przebywać w momencie kilkunastu-milowe przestrzenie i zatrzymywać się w dowolnych miejscach na cudnych a rzeczywistych szczegółach wizyi. W obraz ten, ujęty w ramy krańcowych szczytów, zaklęte są miasta i wsie, kościoły i osady liczne; widać misternie przewijające się przez płaszczyznę wstęgi dróg i gościńców, które łączą i zespalają rozrzucone kapryśnie kępki siedzib ludzkich. Niewidzialna linia kolei da się rozeznać jedynie po kierunku, w jakim posuwa się zwolna wąski zwitek białego dymu.

A dalej jeszcze, tam, gdzie już trudno rozróżnić, gdzie ziemia się kończy a niebo zaczyna, błękitnieje pas wzgórzy dalekich, tak dziwnie łagodnych, że ich pogodny uśmiech wydaje się być ulgą po groźbach, rzucanych przez tajemnicze srogie Tatry.

Ten spokój, spływający z pogodnego nieba, rozwieszonego ponad równinami, przypomina nam letni wieczór na wsi i tylko słuchać, jak nam powiewy przyniosą ciche, dalekie dźwięki na „Anioł Pański".

Nagle wśród uroczystej, niezmąconej żadnym obcym dźwiękiem ciszy rozlega się świst ostry i wstrząsając sennemi falami powietrza, obija się o ściany domów i pnie drzew, i idąc dalej w las, przepada gdzieś dopiero w skalistych załomach wąwozów. Z poza zakrętu, serpentyną kolejki zębatej wysuwa się zwolna idące ku górze czarne pudło parowozu i wydając coraz szybsze i forsowne tchnienia zdąża ku zawieszonej na stokach stacyjce. niewielu, wysiadają z wagoniku i rozpraszają się gdzieś między domami i w chwilę później wraca wszystko do dawnej ciszy.

Idziemy nad staw. Jest tak wygładzona jego szyba, że najmniejszej zmarszczki dojrzeć nie można. Wierzchołki drzew przeglądają się w niej, a nieuchwytne i tajemne cienie zmierzchu przemykają w powietrzu chyżo, ledwo dostrzegalne. Zapadał wieczór i wszystko wokoło zlewało się w jedną szarość, a tylko śnieżne kopy szczytów tatrzańskich stały zdala, niepokalane w swej białości. Z pomiędzy skalistych wądołów wydobywały się ociężale słupy mgły i ścieliły się ponad lasami, a w górach poczęły się odbywać jakieś wielkie, senne narady.

A. L.





Przewodnicy tatrzańscy.



Skały masowe. Widok z Tatr.

Hasło rzucone w pustkę, ożywia ją na chwilę i napełnia niezwykłym ruchem i gwarem. Z pobliskich hotelów spieszą ku stacyi ukryci gdzieś przedtem goście i służba, i wszystko co żyje napełnia mały peron stacyjny, lub wychyla się przez poręcze tuż ponad torem kolejki. Podróżni, których jest

Jeden z Kraszewskich.

Kartka z dziejów W. Ks. Poznańskiego (1828—1870).

Przeglądając w sierpniu 1906 r. w Archiwum tajnem pruskiem w Berlinie niektóre akta, dotyczące stosunków polskich z epoki pierwszego piętnastolecia po utworzeniu z mocy traktatu wiedeńskiego W. Ks. Poznańskiego, spotkałem się z relacyą poufną, złożoną w dniu 8 września 1828 r. przez Nadprezydenta prowincyi, Baumanna, ministrowi v. Schukmann, a przez tegoż zakomunikowaną królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV o patryotach polskich, którzy przeczuwając niebezpieczeństwo germanizacyi, słowem i czynem budzili podówczas ducha odporności między ludnością wielkopolską (R. 77. XVII. Vol. V z lat 1825—1828).

Między innemi, w relacyi Baumanna, który w początkach 1825 r., po ustąpieniu Zerboniego, jako były prezes rejencyi w Prusach Południowych przed jenajskim pogromem, ze stosunkami polskiemi względnie do-

brze był obeznanym, został prezesem naczelnym W. Księstwa, znalazłem następującą charakterystyczną opinię o d-rze Antonim Kraszewskim, Wielkopolaninie, skoligaconym z zasłużonym rodem wołyńskich Kraszewskich, z których wyszedł Józef Ignacy i brat jego, Kajetan, tyle zasłużeni w literaturze ojczystej pisarze („Monografia domu Kraszewskich Jastrzębczyków", Poznań, 1902, str. 22). Młodzieniec ów — pisał o Antonim Kraszewskim Baumann — zaletami swemi i naukowem wykształceniem wyróżniający się, jest istotnem między swymi rodakami zjawiskiem (ein Phaenomen unter seinen Landsleuten). Szanowanym jest i podziwianym przez wszystkich. Podczas sejmu bawił czas długi w Poznaniu, i nie wątpię, że wywarł wpływ znamienny na młodzież szlachecką, a bezpośrednio i na deputowanych Landtagu. Petycye o utrzymanie narodowości polskiej w Wielkiem Księstwie, o zachowanie języka polskiego w szkołach i na urzędzie, niewątpliwie są rezultatami jego wpływu (sind Resultate seines Einflusses). Należy on do rzędu owej przeważnej większości szlachty tej prowincyi, którąby wolała zostać Polakami, aniżeli Prusakami i dla których wskrzeszenie ich Ojczyzny stanowi życzenie najserdeczniejsze i najsłodszą nadzieję etc. (denen die Wiederherstellung ihres Vaterlandes der höchste Wunsch und die süsseste Hoffnung ist). „Przebywa on obecnie w Lipsku, jako uczony prywatny (als Privatgelehrter)".

W zgodności z taką cierpko-słodką opinią prezesa Baumanna o ludziach tak sprzecznych z widokami rządu pruskiego tendencyi, znajdują się przelotne wzmianki o udziale d-ra Antoniego Kraszewskiego w pracach sejmowych W. Ks. przed rokiem 1831 i w następnych latach, zwłaszcza w pamiętnym roku 1848, gdy ogólne ruchy wolnościowe w Europie pobudziły i Wielkopolan do żywszego w sprawie ratowania narodowości działania. Wzmianki te mieszczą się w dziele Żychlińskiego o historyi sejmów W. Ks. Poznańskiego (r. 1867) i w nowszych pracach o Poznańskiem d-ra Kazimierza Rakowskiego, lecz jako potoczne, nie odtwarzają nam wyjątkowo zasłużonej postaci Antoniego Kraszewskiego, godnej zająć zaszczytne miejsce w szeregu takich osobistości, jak dr. Marcinkowski, Szuman, Niegolewski, Kantak, którym narodowość polska w prastarej Piastów dzielnicy swą oporność i wytrzymałość zawdzięcza. Otrzymawszy bliższe informacye o życiu i działalności Antoniego Kraszewskiego od potomków po bracie jego, do dziś dnia pożytecznie wśród obcych i swoich pracujących, podaję tu w treściwym zarysie materyał do wyczerpującej przyszłych biografów o Kraszewskim monografii, stanowić mogącej przyczynek do obrazu dziejów W. Ks. Poznańskiego z doby nowszej.

* * *

Dr. Feliks Antoni Kraszewski urodził się dnia 30 maja 1797 roku w Tarkowie, na Kujawach pruskich, w powiecie inowrocławskim, z Jana Kraszewskiego prezesa trybunału bydgoskiego i Anny z Poleskich, dziedziców tychże dóbr. Nauki pobierał najpierw w Pakości u OO. Reformatorów, a następnie w Liceum warszawskiem. U-



Dr. Antoni Kraszewski.

niwersytet ukończył w Warszawie, pozem studyował w Berlinie, w Halli i Gettyndze, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii z prawem do docentury. O żywym udziale Kraszewskiego w działalności korporacyi studenckich w Berlinie zamieściłem szczegółowe wyjaśnienie w szkicu historycznym „Panta Koina", ogłoszonym w roku bieżącym w „Bibliotece Warszawskiej" (Styczeń i Luty). Dzięki jego to usiłowaniom studenci Polacy utworzyli w Berlinie odrębny związek literacko-towarzyski, uprawiający naukę i szlachetne rozrywki umysłowe. Już wówczas dał się Kraszewski poznać otoczeniu ze stanowczości charakteru i z pewnego odcienia autokratyzmu, nie znoszącego opozycyi w sprawach zasadniczych stowarzyszenia studenckiego.

Po ukończeniu uniwersyteckich studyów, Kraszewski, mając zamiłowanie do nauk, pragnął się im w zupełności poświęcić i osiąść w Gettyndze, lecz potrzeba ratowania majątku po śmierci ojca, znagliła go do powrotu do Tarkowa i do poświęcenia się gospodarstwu rolnemu. Nie było to łatwem dla człowieka cichej pracy książkowej zadaniem, lecz silna wola dokonała swego i, niebawem, pracą i energią doprowadził Kraszewski Tarkowo do wysokiej i wzorowej kultury.

Obywatelskie zadania powołały Kraszewskiego na obszerniejsze pole pracy. Jako znany z wymowy i siły przekonywającej patryota, pierwszy uderzył w dzwon trwogi, nawołując obywateli do działania. On to podał myśl założenia Towarzystwa naukowej pomocy; już bowiem w r. 1829 wezwał do narad z ks. Radziwiłłem i arcybiskupem Wolickim obywateli całego Księstwa do Poznania, by utworzyć owo Towarzystwo.

Zjazd w sali arcybiskupiego pałacu był liczny. Projekt i jego statuta przyjęto jednogłośnie. Na propozycyę Kraszewskiego wybrano komitet dla ponownego i szczegółowego opracowania statutu. Spór o utrzymanie jednego w nim artykułu, na którego opuszczenie nastawał komitet, spowodował zwłokę w urzeczywistnieniu projektu, a następnie odrzucenie go przez rząd pruski.

Dopiero dr. Marcinkowski myśl inicyatorów wprowadził w życie, jakkolwiek częściowo; Towarzystwo bowiem, według projektu Kraszewskiego, miało być: Towarzystwem naukowo-rolniczo-przemysłowej pomocy; nie składkowe, lecz oparte na ofiarach sześciu groszy z morgi większej, a trzech, z morgi magdeburskiej. Każdy, otrzymujący zapomogę, obowiązanym był ją zwrócić.

Tymczasem prace sejmowe 1830 r. powołały Kraszewskiego, jako posła inowrocławskiego, do politycznych zajęć. Zaostrzyła się sytuacya ze śmiercią Baumanna, gdy na prezesa naczelnego prowincyi powołano osławionego Flottwella, nieubłaganego pogromcę wszelkich konstytucyjnych zachcianek.

Wybuch listopadowy sprowadził represyę. Poznań ogłoszono za miasto w stanie wojennym, ustanowiono kordon graniczny. Mimo to młodzież poznańska ruszyła tłumnie do Królestwa. Kraszewski wstąpił do szeregów powstańczych i odbył kampanię pod Giełgudem, w siódmym pułku liniowym piechoty. Wzięty do niewoli, odesłanym został do Prus i odsiedział w Grudziądzu i Silberbergu kilkomie-

sięczną karę forteczną, poczem wrócił do Tarkowa do pługa.

Rząd pruski, oceniając jego zdolności, ofiarował mu posadę w ministeryum, a następnie urząd Radcy szkolnego w Poznaniu, lecz Kraszewski postawił swoje warunki, które odrzucono.

Należąc do Ziemstwa *(Landschafty)* zachodnio-pruskiego, był obrany radcą, a później dyrektorem na okręg bydgoski, lecz po latach dwunastu urząd ten opuścił.

Na sejmy prowincyonalne i berliński kilkakrotnie był wybierany. Zasłynął z wybornej pamięci, krasomówstwa i odwagi cywilnej. Pamiętną jest mowa jego, wypowiedziana w roku 1847 na sejmie połączonym w Berlinie. Król Fryderyk Wilhelm IV odrzucił petycyę o nadanie konstytucyi, słowami: *„Ich leide keinen Fetzen Papier zwischen mir und meinem Volke“*. (Nie ścierpię szmaty papieru między mną, a ludem moim). Odpowiedział wówczas Kraszewski, że z całych Niemiec od Bałtyku, aż do Renu odebrał dziękczynne listy. W mowie sejmowej był między innemi ustęp: *„Kennen sie meine Herren einen König, ohne Volk?“* (Czy znacie panowie króla, bez ludu?).

Słowa te przypomniał sobie król w roku 1848, udzielając audyencyi dyputacyi polskiej, wysłanej przez Księstwo, z prośbą o udzielenie autonomii.

Na czele owej deputacyi był arcybiskup Przyłuski, a między deputatami — Kraszewski. Król Fryderyk Wilhelm IV, znając już uprzednio osnowę petycyi, nie odczytał jej, lecz z góry oświadczył, że autonomii nie udzieli, gdyż Polacy, jakoby, do samorządu nie dorośli, a na dowód przytoczył powstanie listopadowe i rzeź galicyjską i zakończył zdaniem, że Polacy nie są zdolni do bytu samoistnego.

Kraszewski śmiało słowom królewskim zaprzeczył i, mówiąc o rzezi galicyjskiej, nadmienił, że ją wywołał rząd austryacki, płacąc nawet za głowy mordowanych. Tu przerwał król:

— *Das ist nich wahr!* (To nie prawda!).

Na to Kraszewski:

— *Die oesterreichische Regierung hat sich von diesem Vorwurf nich gereinigt...* (Rząd austryacki nie oczyścił się z tego zarzutu).

Król:

— *Es ist nicht unsere Sitte uns zu rechtfertigen.* (Nie jest naszym zwyczajem usprawiedliwiać się).

Na to Kraszewski:

— *Majestät! Ich kenne Niemanden auf der Welt, der sich von solcher Missethat nicht zu rechtfertigen brauchte!* (Najjaśniejszy panie! Nie znam nikogo na świecie, któryby się z takiego złoczyństwa nie miał obowiązku tłomaczyć).



Góral tatrzański, polujący na kozice.
(patrz artykuł p. t. „W Tatrach“).

Szermierka słów byłaby trwała dłużej, gdyż król lubił jędrne odpowiedzi, lecz minister Auerswald doniósł królowi, że czekają posłowie zagraniczni i wtedy król prosił arcybiskupa o przedstawienie mu deputacyi.

Przy wymienieniu nazwiska dra Kraszewskiego, przypomniał sobie król rok 1847 i z uśmiechem rzekł:

— *O! ich kenne: König ohne Volk.*

Po takiem nieprzychylnem przyjęciu deputacyi, z tem wszystkiem rząd się namyślił i zdecydował się dać Księstwu autonomię częściową, powoławszy na naczelnika cywilnego dra Kraszewskiego, na wojennego zaś — jenerała Willisena. Lecz gdy ci przybyli do Poznania, już się stan rzeczy zmienił. Wojsko pruskie uderzyło na oddziały polskie, więzienia napełniły się jeńcami, których przy wypuszczeniu piętnowano dla poznaki kamieniem piekielnym.

Wiosna ludów przeszła... lecz nastała znowu powolna praca organizacyjna nad odbudowaniem ruin.

Na pierwszy sejm pruski W. Ks. Poznańskie wysłało szesnastu posłów; między nimi był Kraszewski.

Dziesięć lat jeszcze poświęcał się życiu publicznemu i sprawie rodaków, poczem skołatany na siłach, w roku 1858 cofnął się do zacisza prywatnego i osiadł w Dreznie, gdzie dnia 23 stycznia 1870 r. zakończył bez potomstwa zasłużony żywot.

Śmierć tak dzielnego obywatela przeszła w naszem czasopiśmiennictwie bez głośniejszego echa. Wyjątek w tej mierze stanowiła *Kronika żałobna Żychlińskiego*, z której ważniejsze w niniejszym zarysie zużytkowano szczegóły, oraz artykuł dra Zielewicza, wydrukowany w *Pamiętniku pomocy naukowej* w Poznaniu w r. 1891.

W tymże 1891 roku polakożercza gazeta grudziądzka *„Geselliger,“* przytoczyła raz mowy dra Antoniego Kraszewskiego z królem pruskim. Obok wielu projektów, podanych przezeń na zebraniach obywatelskich, pierwszy Kraszewski dał inicyatywę do urządzenia ochronki wiejskiej, w której starsza kobieta miała sobie powierzane co rano dzieci drobne matek, zajętych pracą w polu, które dopiero nad wieczorem, wracając do domów, zabierały ze sobą. Toż samo w niedzielę każdą zakładano konie do woza i odwożono na nim niedołężnych starców do ko-

ścioła. Na każdą gwiazdkę, rodziny parobków we wsi, ile ich było, otrzymywały podarunek (między innemi — grzebień...). Zwyczaj ten zachował się do ostatnich lat pobytu rodzeństwa Kraszewskiego w Tarkowie. Smutne okoliczności znagliły dziedziców Tarkowa do sprzedaży tego majątku krewnemu, który ową siedzibę zamienił na marki kolonizacyjne... *„Straż“* poznańska napiętnowała ów czyn należycie, ale nie mając informacyi dokładnych, skrzywdziła pamięć następcy dra Antoniego Kraszewskiego. Dopiero protest energiczny w pismach publicznych i świadectwo obywateli, znających dokładnie stan rzeczy, wyświetliły sprawę i oczyściły pamięć niewinnie oskarżonego. Dziś, niestety, ze staropolskiego Tarkowa nie pozostało już nic, ani starego, ani polskiego...

Aleksander Kraushar.
(„Świat“ warszawski).



Szumi na niwie zboże...

Szumi na niwie zboże,
Szumi, jak wielkie morze,
A między zbożem chodzą
Białe anioły Boże;
Chodzą Anioły z nieba
I liczą, jak potrzeba,
I w sobie się radują,
Że będzie dosyć chleba.
Przepiórki czynią gwary,
Mignie zajączek szary
I w bróździe się przyczai
Uszaty tchórz bez miary;
A wróble się zlatują,
Świergocą i rajcują,
Złociste skubiąc kłosy,
Zawzięcie sejmikują.
Cieszy się ziemia cała,
Że plonu doczekała,
Że dzieci swe nakarmi,
Jak matka doskonała.
I człowiek, i ptak Boży,
Niech jeno biegną skorzej:
Mać — ziemia wszem stworzeniom,
Skarbnice swe otworzy.
Hej! leci pieśń w niebiosy!
Hej! dzwonią ostre kłosy!
Hej! drżą na ciepłym wietrze
Dostałe ciężkie kłosy!
Pod kosą łan się kładzie,
Pracują żeńcy w ładzie,
A Bóg z błękitu nieba
Śmieje się ku gromadzie.
Zajączek szary zmyka,
Ćma wróbli: fort z sejmika!
Li dzwoni skowrończana
W lazurze gdzieś muzyka.
Piosenkę wszczęła dziewka,
Wtór daje młodzież krewka:
Na bory hej! na lasy
Hej polska leci śpiewka!...

Or-ot.

Ojczyzna
w poezjach Mickiewicza.

5)

(Ciąg dalszy).

Grażyna więc jest prędzej Marylą, niż panią doktorową Kowalską z Kowna; kiedy Mickiewicz pisał ten swój poemat, ona stracona już dla niego na zawsze, stała mu ciągle na pamięci, z nią choć nieobecną i w niej żył.



Pastuszek w Tatrach.
(patrz artykuł p. t. „W Tatrach“).

Czy nie tak?

Czy w dwóch chociażby tylko wielce charakterystycznych wierszach: „Precz z moich oczów“ i „Na Alpach w Splügen“ nie przekonywa nas o tem, jak silnie zakorzeniła się ona w jego sercu? Te dwa wiersze powstały nie w jednym czasie, oddziela je od siebie przeciąg lat sześciu. Pierwszy napisany był przez niego w roku 1823 (w półtora roku po ślubie Maryli) drugi w roku 1829, w lat siedm po tem. I cóż? W jednym i drugim powiada on nam, czem ta kobieta dla niego była.

Odepchnięty przez nią, stara się ją odepchnąć od siebie, chce zapomnieć o tem, że ją kochał.

Nie może.

Bo pamięć mu na to nie pozwala.

„Precz z moich oczów... posłucham od razu
Precz z mego serca!... i serce posłucha
Precz z mej pamięci!... nie, tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha.“

I powiada dla czego tak:

Bo cień jest tem dłuższy, im z dalszego miejsca pada, tem szerzej żałobne koło roztacza, więc im bardziej oddali się on od niej, tem grubszym kirem zamroczy jej pamięć.

I czy zadumana w samotnej komorze, zechce się ona zabawić muzyką, lub rozerwać książką, czy znajdzie się wśród tanecznego wiru, lub też przy grze towarzyskiej, wszędzie przed okiem swojej duszy, jego spostrzeże. Bo czuć zawsze ona będzie i musi, że ją kochał nie przeciętny śmiertelnik, nie pospolity zjadacz chleba, ale człowiek natury wyjątkowej, którego serce nie jest zwyczajnem sercem, zbiorem mięsnych komórek, uderzających w takt płaskich namiętności. Więc dla tego też, że tak jest:

„W każdem miejscu, i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie
Bom wszędzie cząstkę duszy mej zostawił.“

I był też przy niej wszędzie, choć nie należała do niego, choć wyszedłszy za mąż, po długiej z sobą walce, przestała już żyć z mężem, jak czas pewien z nim żyła, to jest jak siostra z bratem.

Wiersz „Na Alpach w Splügen,“ świadczy nam o tem.

Kiedy Mickiewicz pisał ten wiersz, nie był już tem, czem był wtedy, gdy z Marylą „o wieczornym chłodzie, błądził po ogrodzie.“

Był już, nie słabo świecącą gwiazdą, ale słońcem pierwszej mocy.

Wypuszczony z więzienia, odbył długą podróż po całej Rosyi, wydał już był Sonety krymskie i Konrada Walenroda, zapoznany we własnym kraju, czczony był przez światłych literatów rosyjskich, jak Bóg poezyi.

„Kiedy cię, o Mickiewiczu natchniony — pisał do niego Bariatyński, w wierszu, który tu w przekładzie podajemy:

„Kiedy cię, o Mickiewiczu natchniony,
Zastaję ja u Bajronowych nóg
Myślę sobie, czcicielu uniżony,
Powstań, powstań, i wspomnij, żeś sam Bóg.

Z taką więc wielką już przeszłością, w tyle lat po rozstaniu się z Marylą, znalazł się na Alpach.

I jakie słowa wyrwały się wtedy z jego duszy?

„Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady.“

I tęskni do niej. I zapomina o tem, kim jest, o swojej sławie, o swojej wielkości, o tem, że ostatecznie porzuciła go dla innego, i wypowiada w rozrzewniających słowach, coby uczynił, gdyby tak nagle, niespodziewanie, znalazła się ona przy nim:

„Ach, jabym cię za rękę po tych skałach wodził
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie
I pod twą nóżką z wody dostawał kamienie.
I przeszłaby twa nóżka wodą nie dotknięta
A całowaniem twoje rozgrzałbym rączęta.“

I świadom tego, czem ona dla niego była, czem on, jako wyższy duchem od innych, być dla niej powinien, wątpi nawet o tem, czy bawiąc się lepiej niż przy nim, czuć się dobrze na świecie bez niego może:

„Niewdzięczna, może dzisiaj królowa biesiady
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady
Lub może się nowemi miłostkami bawisz
Lub o naszych miłostkach, śmiejąca się prawisz
Powiedz, czyś ty szczęśliwa?...“

Umyślnie oddaliłem się od ch... w której Mickiewicz pisał Grażynę, umyślnie zatrzymałem się dłużej nad wyjątkowym jego stosunkiem do Maryli, umyślnie zaakcentowałem niezwyczajną naturę stosunku tego, bo z krytykami dzieł poety się nie zgadzam, gdy ci jednozgodnie utrzymują, kto stał na myśli Mickiewiczowi, gdy Grażynę pisał. Nie zgadzam się, i gdy w tym względzie pewność poszła wraz z poetą do grobu, domniemanie moje stawiam przy ich domniemaniach, motywując je tem, co nam poeta o swoim stosunku do tej kobiety powiedział, i analizą jego niezwykłego uczucia.

I dochodzę do wniosku, że Grażyna jest nie kim innym, tylko Marylą.

Czyż bo kochając ją, tak jak ją kochał, w rok po rozstaniu, z tak świeżą jeszcze raną w swojem sercu, mógł on kreśląc kobiety ideał, myśleć nie o niej, lecz o innej, inną nie ją, mieć przed sobą, — skoro jeszcze po 7 latach, na szczytach śnieżnych Alp, gdy już wznioślejszy od miłości kobiety ideał, przenikał jego istotę, jak posąg czysty i biały, stała mu ona w promieniach dawnego ukochania, przed stęsknionej duszy okiem?

Od początku do końca, Grażyna jest uosobieniem tego, czego jest uosobieniem ukochana kobieta dla mężczyzny: fizycznej i duchowej doskonałości.

Przedewszystkiem bo jest ona piękną.

W dwóch miejscach mówi nam o tem poeta:

„Była naonczas książęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną.“

I w innem miejscu nam to powtarza.

Kiedy Rymwid, po rozmowie jej z Litaworem dowiedział się o tem, że posłowie krzyżaccy zostali oddaleni, i gdy wyjść z podziwienia nie może, że udało się, jak sądził księżnej, zmienić postanowienie męża, poeta tak się wyraża:

„Nie dziw, zapomniał starzec siwobrody,
Że księżna piękna, a Litawor młody.“

Piękna, nawet bardzo piękna, pierwsza krasawica w kraju, Grażyna przecież nie jest kobietą pierwszej już młodości.

Stanisław Belza.

(Dokończenie nastąpi).



Pomnik Adama Mickiewicza w Zawierciu,
odsłonięty w dniu 7-go lipca r. b. Inicyatorem pierwszego w Królestwie polskiem na prowincyi pomnika wieszcza jest p. Br. Miciński; prace rzeźbiarskie wykonał artysta p. F. Staszewski. Uwieńczenie pomnika odbyło się w obecności licznie zgromadzonych osób z miasta i okolic poblizkich.
(patrz „Felieton“ w numerze 29-ym).



Zdania i myśli.

Nawet sceptycy utrzymują, że bywają w życiu wypadki, kiedy największą chytrością, oraz podstępem jest prawda, tudzież uczciwość.

* * *

By wyleczyć się z miłości, która nagle powstała, trzeba na to długiego czasu.

* * *

Każdy autor, pragnący pisać jasno, musi zawsze mieć na myśli swych czytelników.

* * *

Między życiem i śmiercią często dlatego leży ciężka choroba, by ludziom śmierć lżejszą uczynić.

Mieszkanie i zdrowie.

(Pogadanka hygieniczna).

Obok pożywienia i ubrania, mieszkanie jest jednym z najgłówniejszych warunków bytu ludzkiego. Zdrowie nasze zależy zarówno od racyonalnego pożywienia, jako też i od mieszkania, urządzonego według wymagań hygieny.

Pierwszem z owych wymagań są mury suche, nie przepuszczające wilgoci.

Przysłowie hiszpańskie powiada słusznie: „gdy zbudujesz dom nowy, wynajmnij go w pierwszym roku twemu wrogowi, w drugim przyjacielowi, a w trzecim dopiero sam się doń wprowadź.“

Chcąc przekonać się, czy mieszkanie jest suche, należy wziąć cienką płytkę żelatyny i szpilką przypiąć ją na jednym końcu do ściany. Jeżeli mur jest wilgotny, żelatyna wnet się skręci, tak samo, jak zawsze skręca się, gdy zostanie położona na dłoni.

Na pytanie, czy lepiej jest wprowadzać się do nowego domu na wiosnę, czy na jesień, odpowiedź będzie przychylniejszą dla ostatniej z tych pór roku. Podczas lata mieszkanie wysycha i jeżeli tylko wcześnie palić zaczniemy w piecach, a równocześnie otwierać okna, celem przewietrzenia pokojów, możemy być pewni, iż w zimie niedoznamy przykrości wilgoci.

Bywają domy, nie tylko nowe, lecz i stare, w których wilgoć stale panuje. Zależy to czasami od gruntu, na jakim dom stoi, od sposobu, w jaki założono fundamenty, a najczęściej od rodzaju mieszkań. Jeżeli dom składa się z lokalów szczupłych, licznie zamieszkałych, na pewno możemy przypuszczać, iż w murach domu tego kryje się wilgoć. W tym ostatnim wypadku przyczyną będzie parowanie ciała ludzkiego. Z tego samego powodu, w jednym i tym samym domu jedno mieszkanie może być wilgotne, drugie zaś, chociaż suche, gdy większa ilość lokatorów do niego się wprowadzi, stanie się wilgotnem.

Gdy los nieszczęsny zmusi kogo do przebywania w lokalu wilgotnym, natenczas radzić sobie można do pewnego stopnia ciągłem opalaniem i przewietrzaniem mieszkania. Można także osuszać i koksem rozpalonym w koszu żelaznym, sposób to atoli kłopotliwy, potrzeba bowiem usuwać z osuszanego pokoju meble, a następnie dawać nowe tapety.

Na t. zw. grzyb, pokazujący się pod podłogą skutkiem wilgoci, jest tylko jeden środek prawdziwie skuteczny: zerwać podłogę i wstawić nową.

Przekonawszy się, iż mieszkanie, jakie mamy zająć, jest suche, powinniśmy się zastanowić, w jaki sposób je podzielimy. Błędem, niestety, bardzo zakorzenionym, jest wybieranie na „salon“ pokoju najobszerniejszego i najwidniejszego, oraz urządzanie sypialni w najniewygodniejszym i najciemniejszym kąciku. Pokój, w którym podczas snu spędzamy trzecią część życia naszego, powinien być najobszerniejszy, najlepiej wentylowany i o ile możności najwidniejszy. Mieszkanie, do którego przez cały dzień słońce nie zagląda, choćby najlepiej było urządzone, musi być niezdrowe. Nie znaczy to wcale, aby w pokoju sypialnym okna przez cały dzień miały być otwarte. Podobna przesada również jest szkodliwą.

Wybrawszy sypialnię, zakrzątnijmy się koło pokoju, w którym mamy zamiar pracować, oraz około wygodnego, jasnego i łatwego do przewietrzania kącika dla dzieci. Jadalnię, salon i inne części mieszkania możemy pozostawić na ostatek.

Dostateczna ilość światła i świeżego powietrza, są to przedmioty najbardziej cenione w dobrem mieszkaniu. Światło, jak to każdemu wiadomo, zależy od rozmiaru i rozmieszczenia okien, które raz urządzone, zazwyczaj już się zmienić nie dają. Inna rzecz zupełnie z przewietrzaniem mieszkania; wentylacyę możemy zmieniać i poprawiać.

Najlepszym sposobem przewietrzania pokojów jest urządzenie pod piecami kanałów wychodzących na powietrze. Środek to o tyle trudny do zastosowania, że trzeba go wprowadzać podczas wznoszenia domu. Częściej używane są wentylatory urządzone w ścianach, w piecach i t. p. Dawniej urządzano je w oknach za pomocą rury blaszanej, zakończonej z jednej strony wiatraczkiem, a z drugiej pokrywą, służącą do zamykania wentylatora. Sposób to był tani i



Proces „Sokoła“ w Roździeniu.

Sokołowi roździeńskiemu na G. Śląsku wytoczono, jak wiadomo, proces na podstawie paragrafów 103, 110 i 74. Proces toczył się dnia 3 i 4 czerwca rb. przed I izbą karną w Bytomiu Oskarżonych było jedenastu druhów. Prokurator usiłował wykazać, że Sokół roździeński pracował nad przywróceniem Polski niezależnej przez podburzające odczyty wygłaszane na zebraniach i przez odczytywanie ustępów z polskiej historyi i literatury. Sąd skazał wszystkich oskarżonych na więzienie, a mianowicie Piotra Plewniaka na 1 rok i 3 miesiące, a resztę dziesięciu na 1 do 6 miesięcy więzienia. Nadto zawyrokował sąd rozwiązanie rozdzieńskiego „Sokoła“. Oskarżonych bronili pp adwokaci: *Dr. Zygmunt Seyda* z Katowic, *Czapla* i *Wnukowski* z Bytomia.

Powyższa rycina przedstawia nam ośmiu zasądzonych Sokołów jak następuje:

Stoją od lewej strony do prawej:

1. Edw. Hałota, 1 m. w. **2. Piotr Łyszczak,** 4 m, w. **3. Konst. Skulik,** 3 m. w. **4. Leon Zielosko,** 4 m. w. **5. P. Handy,** 1 m. w.

Siedzą od lewej strony do prawej:

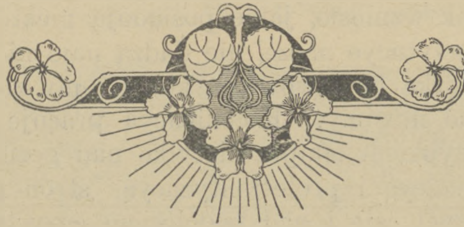
6. Teodor Hakowski, 4 m. w. **7. Jan Badura,** 6 m. w. **8. Adam Czupala,** 4 m. w.

Brak czterech zasądzonych i to: **Teodora Piechy,** skazanego na 4 miesiące więzienia, **Jana Paliona** na 2 miesiące, **Piotra Plewniaka** na 1 rok i 3 miesiące więzienia. **Juliusz Howaniec** przed terminem wyjechał zagranicę. Podobizny tych druhów później podamy.

chociaż niezbyt estetyczny, lecz za to hygieniczny. Dlaczego wyszedł z użycia?... trudno zgadnąć.

Najtańszym i najprostszym sposobem jest otwieranie okien, sposób to atoli doskonały w lecie, lecz w zimie połączony z pewnemi niedogodnościami. W każdym razie w pokojach sypialnych i dziecinnych, w braku innych środków wentylacyjnych, należy codzień otwierać okno, przynajmniej na pół godziny.

Wysokość temperatury w pokoju zależy od przyzwyczajenia. Zazwyczaj uważa się 15 do 20 stopni Celsiusza (12 do 16-tu Reaumura) jako temperaturę najzdrowszą. W pokojach sypialnych powinno być nieco chłodniej, w tych zaś, gdzie zajmujemy się pracą, a zwłaszcza umysłową, trzymuje. Z tego też powodu pokoje sypialne i dziecinne nie powinny być przystrajane w portyery, firanki, dywany i t. p. Jeżeli do ilości dostatecznej światła i powietrza dodamy jeszcze czystość, posuniętą do drobiazgowości, wówczas dopiero będziemy mogli powiedzieć, iż mieszkanie nasze odpowiada wymaganiom hygieny, a my spełniliśmy wszystko, co może przyczynić się do podtrzymania zdrowia.





Ogólny widok Neapolu.

może być cokolwiek cieplej. W lecie, jak wiadomo, temperatura powietrza bywa niekiedy wyższą od wskazanej powyżej normalnej. Najgorętsze w tej porze są pokoje zwrócone na zachód, najmniej zaś na południe i północ.

I w tym znów wypadku okna są najlepszym regulatorem, ale okna podwójne, których na lato nie należy wyjmować. Zasłonięte roletą białą zabezpieczą mieszkanie przed skwarnemi promieniami słońca. Co do ogrzewania pokojów, najlepszym stosunkowo, w naszym zwłaszcza klimacie, jest system pieców kaflowych; piece żelazne wydzielają zawsze w mniejszej lub większej ilości czad nieprzyjemny i niezdrowy.

Pod względem umeblowania zwracać należy uwagę na to, aby w pokojach znajdowało się jak najmniej przedmiotów, na których kurz się za-

Sprawy ekonomiczne.

Pogrzebana świetność.

Pod nagłówkiem „Verblasste Herrlichkeit pojawił się w „Berl. Loc. Anz.“ z dnia 24-go z. m. artykuł krytykujący Polonią, jej zwyczaje i przywary. Pominąć można nietrafne sądy autora, ujmujące dawniej szlachcie polskiej zdolność do wykonywania poważniejszych czynności a przedstawiające ją jako pasożytów, hulaków itp. Ten rodzaj myślenia o przodkach naszych pochodzi z ust Prusaka, zatem z obozu nam wrogiego, stojącego pod wpływem hypnozy szowinistyczno-hakatystycznej. Autor przebiera w szeregu mężów naszej przeszłości, szuka wyjątków przez nas samych potępionych i właśnie te wyjątki stawia jako przeciętny typ szlachcica polskiego.

Więcej ciekawości wzbudza w nas ustęp omawiający ekonomiczne nasze położenie: „Dążność Polaków, — brzmi on dosłownie — do utworzenia kapitalizmu w obszarach nadwiślańskich zdobyła małoznaczące sukcesy, spłodziła bowiem tylko średni stan zamożny, ruchliwy a inteligentny — i to dopiero w ostatnich 30 lub 40 latach. Jeśli zaś Polacy w Poznańskiem czegoś więcej dokażą, zawdzięczą to przeważnie wychowaniu pruskiemu. — Co do przemysłu w Poznańskiem — o nim niemal mowy być nie może.........
Polacy żyją jak w miechu. Mogą wprawdzie przewyżkę ludności wysyłać na wszystkie strony, lecz brak im oficerów i dowódzców, którychby tej przedniej straży (Vortruppen) nadali“.

Oto zdanie Prusaka o nas Polakach. Czy ono trafne? — Nie możemy się wprawdzie szczycić kapitalistami w właściwym tego słowa znaczeniu, choć mamy milionowych ziemskich właścicieli. Stan średni wytworzył się z zubożałej szlachty albo z wyrosłego proletaryatu. Szlachta czy zamożna czy uboga szła do boju, chłop — uprawiał ziemię. Handlem zaś i przemysłem trudnili się żydzi. Dzisiaj boje ustały, liczba ludności wzrosła, a terytoryum nasze zmalało! Ucisk pruski nie dopuszcza Polaka do państwowych urzędów, więc nolentes — volentes rzuciliśmy się na przemysł i handel. I spotkaliśmy się tutaj na teatrze ekonomicznej walki z konku-

*) Zdanie łacińskie znaczy po polsku: chcąc nie chcąc. — Przyp. Redakcyi.

rencyą obcą, zamożną, więc nęcącą konsumentów tańszemi cenami. A ci konsumenci — Polacy nie zrozumieli jeszcze swej roli, nieświadomi niewiedzą, że oni to głównymi bohaterami wrzącej walki, więc — błądzą. Ściśle wziąwszy wina spotyka każdą kategoryę naszego społeczeństwa: konsumentów, że nie popierają detalicznego handlu polskiego, detalistów, że mało dbają o forsowanie wyrobów rodzimych produktów, że nie starają się o zbyt i rozpowszechnienie swych produktów. I toczy się walka, którą najwięcej odczuwają sami fabrykanci, oni znają trudności przeboju. Częstokroć przemysłowiec-Polak z małym zasobem pieniężnym rzuca się w wir konkurencyi, pragnie krok za krokiem rugować jedną gałęź obcego przemysłu po drugiej. I dlaczegoż to ci dzielni

„Gazetę ogrodniczą"

radzi wydawać p. *S. Smigaj z Czernicjewa.*

„Gazeta ogrodnicza'' — czytamy w odezwie — oddałaby przysługę dziedzicom Księstwa, ustałyby rozmaite utyskiwania i skargi z ich strony. „Gazeta ogrodnicza'' oddałaby wreszcie przysługę ogromną i włościanom. My nie mamy kolonizacyi ani funduszów gadzinowych; na cele tak wzniosłe, jakie posiadają niektóre instytucye nasze, nie dadzą nam nic z worka państwowego, który i my zasilać musimy. Kolonizacya pracuje w szybkiem tempie nietylko nad germanizacyą i protestantyzacyą stron naszych, ale i nad podcięciem egzystencyi wszystkim naszym zawodowcom polskim''.

Adresy te nadejść muszą najpóźniej do dnia 10-go sierpnia r. b. Proszę więc każdego, kto chce w dniu 15-go września brać udział w zjeździe ogrodników w Poznaniu, którego program później ogłoszony zostanie, ten niech niezwłocznie swój adres nadeśle.

Na oświadczeniu musi być wyraźnie zaznaczone, czy zgłaszający się jest ogrodnikiem handlowym, dworskim, dziedzicem lub miłośnikiem ogrodnictwa.

Czernicjewo p. Schwarzenau Bez. Bromberg.

B. Smigaj.





Podróż w dalekie strony.

pionierzy przemysłu rodzimego walczą z trudnościami finansowemi? Toć mamy możnych i zamożnych, którzy mogliby być owymi „oficerami i dowódzcami przedniej straży,'' — dlaczego oni albo sami do tej walki nie staną, albo innym do zwycięstwa w niej nie pomogą, — już to jako wspólnicy już to protektorzy pomocni w jaki bądź inny sposób? Za mało poświęcenia się dla tej idei, za mało ufności dla chętnych a niezamożnych. Weźmijmy wszyscy czynny udział w tej walce, każdy, czem może, do zwycięstwa niech się przychyli, a wnet dojdziemy do dobrobytu, wnet zdobędziemy podstawę ekonomiczną, wnet wskrzesimy do dawnego blasku „pogrzebaną świetność.''

Pan Smigaj ma nadzieję, że przy dobrej woli i chęci, tak kolegów jak dziedziców i wszystkich lubowników ogrodnictwa, „Gazeta ogrodnicza'' ujrzy światło dzienne.

Jednocześnie ogłasza p. Smigaj następującą odezwe:

Ogrodnicy!

Wszystkich ogrodników, tak handlowych jak dworskich i miłośników ogrodnictwa, dziedziców z całego zaboru pruskiego oraz z zagranicy upraszam o podanie swego adresu w celu zbierania materyału nad organizacyą ogrodniczą i zarazem o przekonanie się, jakie zainteresowanie sprawa ta wzbudziła u ogrodników, dziedziców oraz miłośników ogrodnictwa.

Złote listki.

Nic tak człowieka nie hartuje, jak wyrzeczenie się choćby jednego błędu.

* * *

Jest rzeczą korzystną być filozofem w życiu, ale mało przynosi pożytku za filozofa jedynie uchodzić.

* * *

Nie pogardzajmy nigdy ludźmi, o których samolubstwie, niesprawiedliwości i dumie słyszeliśmy jedynie od innych.



Dział kobiecy.

„Bocian“.

Z prawdziwą przyjemnością powitałyśmy i my, Wielkopolanki, wraz z mężami naszymi i braćmi narodziny pisma humorystycznego w Poznaniu. Śmiech to rzecz tak pożądana dla społeczeństwa tak przygnębionego jak nasze. Śmiech jest, jak mówi nasz kochany Włodzimierz Zagórski (Chochlik) niejako „życia manifestem.“ Bo też nic tak nie zaznacza zdrowia i żywotnych organizmu sił jak serdeczny, zdrowy śmiech.

I w chęci uśmiechania się, rozweselenia wyciągnęłyśmy ręce do „Bociana,“ który poczciwem swem klekotaniem mędrca-filozofa na wiosnę miał w nas rozbudzać, weselsze uczucia. Miłe to pisemko zapewne nie ustąpi bratu swemu śmiesznemu oczyszczającemu pola nasze i łąki z gadzin szkodliwych i płazów. Odżywczym powiewem odświeży to, co w stosunkach naszych zatęchłe, zaśniedziałe, pleśnią pokryte!

Z takiemi nadziejami wzięłyśmy do ręki „Bociana.“

Ale jakież rozczarowanie, niesmak, obrzydzenie!! To ma być dowcip! To ma być wyrazem humoru Księstwa!

A gdzież się schowała estetyka i nasze sławne poczucie piękna i delikatności?!

Ależ to niszczycielska robota bardziej minująca pod podstawami bytu naszego narodowego od wywłaszczenia i wszystkich praw wyjątkowych! Gust podobny to wytwór dusz zwyrodniałych, skazanych na zagładę a nie narodu tyle zdradzającego sił żywotnych jak nasz. Wszakże w Japonii rozwinięto ogromnie ożywioną agitacyę przeciwko wszystkiemu, co po zaułkach zajmowało umysły pokątnymi wytworami podkasanej muzy, bo zrozumiano, że naród karmiący się podobną trucizną istnieć długo nie może. A „Bocian“ miałby tę mieć zasługę, żeby to, co dotychczas po kryjówkach się chowało, mrokiem i cieniem nocy osłonięte, ośmieliło się występować na widownię, na biały, jaskrawy dzień?!

Więc my w tej samej chwili, gdy na głowę naszej ojczyzny ze wszystkich stron wymierzono śmiertelne ciosy, my zdobywamy się na zadawanie trucizny wewnętrznym jej sokom, tem straszniejszej, że obrachowanej na to, aby wszystkie ogarniała warstwy!

Nie możemy pozwolić na to, aby, jak się sam zachwala „Bocian,“ „pojawiał się wszędzie“, aby „młodzian mówił do dziewicy,“ powtarzając jego elaboraty. Jeżeli się „Bocian“ nie zmieni, jeśli zamiast dowcipów rzeczywistych, zrodzonych w umyśle obdarzonym zmysłem spostrzegawczym, będzie przynosił naśladownictwa pismideł paryskiego świata ulicznego, owoce cynicznego bezwstydu, oświadczamy, my Wielkopolanki w imię najżywotniejszego prawa naszego, bo prawa bytu narodowego, że zawsze będziemy przeciwko „Bocianowi“ protestowały.

Aldona.



Ostatnia pamiątka.



Na Obczyźnie.

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną.
Niechaj sie cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej bujnych łąkach leży płótno,
Rozbite skrzelką, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzpioce się gołębi,
I puchy kwietne, i nitki pajęcze...
I w takież skiby głębokie puść rolę,
I daj po brózdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole,
I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę...
I niech tak idą rozgłośno po łanie
Dzwonki jałowic i z biczów klaskanie.
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucając i długi,
I taką cichą błękitność daj wkoło,
I pełne gwarów powietrze zrób ptaszych,
I taki tuman na gór połóż czoło,
A tylko ludzi zrób — naszych!

Marya Konopnicka.



Kalendarzyk historyczny.

Dnia 4 sierpnia 1308 rzeź Gdańska przez Krzyżaków. — 1389 hołd księcia kurzemskiego.

Dnia 5 sierpnia 1396 układ z książętami śląskimi. — 1419 Władysław Jagiełło rażony od pioruna. — 1579 śmierć Stanisława Hozyusza.

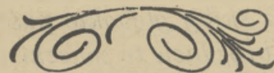
Dnia 6 sierpnia 1506 zniesienie Tatarów pod Kleckiem. — 1606 rokosz Zebrzydowskiego ponawia się. — 1792 wojsko polskie wręcza adres dziękczynny Józefowi Poniatowskiemu.

Dnia 7 sierpnia 1392 pojednanie Jagiełły z Witoldem. — 1564 sejm w Parczowie potępia różnowierców. — 1589 Zygmunt III zjeżdża się z ojcem w Rewlu. — 1662 trzęsienie ziemi w Polsce.

Dnia 8 sierpnia 1399 pogrzeb Jadwigi. — 1422 zdobycie Wąbrzeźna.— 1578 Stefan Batory formuje piechotę i przyjmuje mundury dla wojska. — 1621 wojska polskie stają przeciw Turkom pod Chocimem. — 1658 pobicie Tatarów pod Pohajcami. — 1697 August II przybywa do Krakowa. — 1709 manifest Augusta II przeciw abdykacyi.

Dnia 9 sierpnia 1506 śmierć króla Aleksandra. — 1647 śmierć Zygmunta, syna Władysława IV. — 1650 śmierć kanclerza Jerzego Ossolińskiego. — 1683 poselstwo austryackie przed Janem Sobieskim. — 1770 konfederaci barscy ogłaszają bezkrólewie. — 1881 bitwa pod Iłżą.

Dnia 10 sierpnia 1109 zupełne zniesienie Pomorzan pod Nakłem. — 1125 Bolesław Krzywousty powierza Świętopełkowi rządy Pomorza. — 1383 Zygmunt brandenburgski wkracza do Polski. — 1409 Władysław Jagiełło tłumaczy zażalenia przeciw Krzyżakom. — 1637 Cecylia Renata przybywa do Warszawy. — 1658 klęska pod Tyńcem. — 1831 Skrzynecki złożony z dowództwa.



Myśli.

Myśli kołem się toczą —
owijają motkami:
to się smucą, to mroczą,
to wzlatują błyskami, —
wypływają w błękity —
przyświecają słonecznie;
podniesione na szczyty,
pragną zostać tam wiecznie.

W szczytach pragną być wiecznie —
gdy się wzniosły na szczyty —
i przyświecać słonecznie
i wypływać w błękity.
Lecz znużone błyskami,
często smucą i mroczą....
bo uwite motkami
myśli — kołem się toczą....

Stanisław Bartoszewicz.



Humor i satyra.

W Tatrach.

Owszem, to nie były wcale
Żadne takie feministki,
Jeno zwykłe, żądne wrażeń
Cudów świata — dwie turystki.

Zwykle one w owej porze,
Gdy mięknieje klimat ostry
Rade iść za radą Pola:
„W góry, w góry — miłe siostry!“

Poszły więc w urocze Tatry,
Oczywiście — (rzecz to prosta) —
Że z przewodnikami, którym
W rzeczoznawstwie nikt nie sprosta.

Syte czarów i rozkoszy,
Jakie daje cud przyrody,
Powróciły rozmarzone
I natchnione do gospody.

Lecz o szara prozo życia!
Trzeba było jednak wprzódy
Wynagrodzić przewodników
Za ich poetyczne trudy.

I tu właśnie, na tym punkcie
Rzecz się dziwna wyłoniła,
Kwestya pełna wątpliwości,
Słowem trudna i zawiła.

Mianowicie: czy podwyższyć,
Czyli obciąć też rachunek,
Góralowi, który pannie
Dał ognisty pocałunek?...

* * *

W biurze ubezpieczeń.

— Żenię się i chciałbym się zaasekurować.

— Od czego?

— Od teściowej.

* * *

Obaj złapani.

Bankier spostrzegłszy złodzieja, który włamał się do zupełnie pustej kasy żelaznej. Masz tu dziesięć marek za fatygę, ale, na Boga, milcz!

* * *

Na wsi.

— Jak się nazywasz mój mały?

— A dyć jak mój ojciec.

— A twój ojciec jak?

— A dyć jak ja.

— Ależ jakże cię wołają na przykład na obiad?

— Mnie do miski wołać nie trza, zawdy pierwszy jestem.

Zadanie literowe.

Ułożył czytelnik „Pracy“ J. Zięborak z Białej w Galicyi.

W następujących sześciu słowach:

kupa
Anna
kara
pół
iść
piła

należy zmienić pierwszą literę, przez co powstaje sześć nowych wyrazów.

Litery początkowe dadzą pseudonim znanego polskiego powieściopisarza.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 10 b. m. włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Rozwiązanie łamigłówki rombusowej z nr. 29-go:

D
B **A** N
B E **M** O L
W A T **Y** K A N
K R A S **I** N S K I
D A M Y I H U Z A R Y
L A B R **U** Y E R E
F A S **Z** O D A
T I **A** R A
E **R** A
Y

Dobre rozwiązanie nadesłali i otrzymali nagrodę pp. Wanda Plucińska z Kostrzyna i H. Wodecki z Ropczyc w Galicyi.

KAZIMIERZ GLIŃSKI

36)

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Dokończenie.)

— Święca!... — brzmiało w duszy pana wielkorządcy.

I uczuł płomienie, które mu uderzyły w twarz.

A z kim-że to ucztuje? a kogo to widzi na ławach w izbach swoich?!... Krzyżackie łby, miecze krzyżackie, na których nie osycha krew polska!...

Dławi go żupan, turkusowa klamra sukni wraża się ostrzem w szyję nabrzmiałą; pas biodra mu uciska i dlatego nie może swobodnie powietrza zachwycić. Rozpiął żupan, klamrę precz odrzucił, wstał, prawicę za pas założył, i gdy Zygfryd, za przykładem Ditrycha idąc, kielich swój ku niemu wyciągnął, gdy Otto z Bronsdorfu to samo uczynił — on puhar swój o ziemię cisnął, aż się rozprysły grube kawały kryształu.

— Dość obłudy i udawanej przyjaźni! dość wzajemnego łaskotania się, co grzechem jest i zbereżeństwem! Dlaczego od niedziel dwóch przy stole moim zasiadacie? czego ode mnie chcecie? czekacie — na co?...

— Na posła z Chęcin — odpowiedział spokojnie Ditrych.

W tej chwili psy zaszczekały — tętent nóg końskich zatrzymał się przed dworcem.

Wińcz zbladł.

Powrócił goniec pana Szamotulskiego i przyniósł wieść straszną! Na stolicę poznańską zjeżdża Kazimierz królewic — „sobiepan'' miejsca ustąpić mu musi.

Długa była cisza, jaka bywa po gromu uderzeniu. W mieniącej się twarzy pana Wińcza sześć spojrzeń, sześć sztyletów utkwiło.

Ditrych palcem brząkał o brzeg pozłocistej czaszy, Otto z Bonsdorfu bawił się głowicą miecza, Zygfryd na stół się pochylił i brodę o rękawicę żelazną wsparł.

Wińcz chwiał się — myśli jak błyskawice przebiegały przez czoło osłonione chmurami. Nagle odetchnął, wskazał na szczątki rozbitego kryształu, a słowa biegły z ust, jak kule kamienne z wojennych machin wyrzucane.

— W sam czas, w sam czas puhar mój prysnął!... Nie chciałeś, królu mój miłościwy, druha mieć ze mnie — mieć będziesz wroga!...

Wyciągał ręce...

Ogromny okrzyk się podniósł. Krzyżackie prawice wyciągnęły się do pana Szamotulskiego, a on je każdą z osobna uścisnął mocno — i głosem podniesionym mówił:

— Wasz!...

— *Benedico te mi fili!* — obie ręce podnosząc, zamlamlił ksiądz Johan.

Pogrom.

Nad Polską rozszalała burza.

Nie wahał się teraz Zakon rzucić całą potęgę swoją na państwo Łokietkowe. Zdrada potężnego Wińcza z Szamotuł dodała mu pewności i sił. Wielki mistrz Zakonu, Luter Brunszwicki z uniesieniem radości nowego sojusznika przyjął. Biły trąby i bębny, gdy w mury polskiego Gdańska wjeżdżał pan na Szamotułach; pochyliły się przed nim chorągwie wszystkie, domy ustroiły się w kwiaty i kobierce, bo taki był nakaz, bo każdy nieposłuch karany był śmiercią straszną. Nad onym porządkiem czuwał Zygfryd, ohydne drzewko szubienicy, na wałach wzniesionej, nakazywało posłuch i poddanie się. Biły dzwony wszystkich kościołów, pieśń, mieszała się z fal szumem, w którym jęk słychać było i płacz ziemi zgwałconej.

Nie zawiódł Wińcz pokładanej w nim nadziei Zakonu. Zastępy jego rzuciły się na Wielkopolskę, mordem i pożogą przechód swój znacząc. Dyszał zemstą nieludzką; nieprzemożonem pragnieniem jego było do rąk swych chwycić królewica Kazimierza, ostatniego z panującego rodu Piastów — i pokonanemu królowi krwawe podyktować warunki. Ditrych go łudził stołkiem wielkoksiążęcym — i ta myśl uśmiechała się dumnemu panu na Szamotułach.

Napad był gwałtowny i niespodziany. Uniknął wprawdzie królewic nieszczęścia i w lasach schroniska szukał przed wściekłą pogonią Wińcza — ale dwanaście najzamożniejszych miast Wielkopolski w gruzach było, kościoły i klasztory splądrowano i spalono, nawet metropolitalna świątynia w Gnieźnie nie uszła rabunku i zniszczenia. Morze płomieni rozlało się po ziemi całej, Zakon krwią dyszał i mordem, oszalały pewnością zwycięstwa.

Pomagał mu Wińcz.

Na czele najgroźniejszych zastępów pod wodzą naczelną Ditrycha Altenburgskiego szedł zmierzyć się ze szczupłemi wojskami Łokietka króla. Wielkiemu marszałkowi towarzyszył Otto z Bonsdorfu, komtur zaś elbląski, Herman, podsunął się pod Sieradz i wstępnym bojem wziął miasto. Garstka rycerzy polskich nie wytrzymała ataku, mężni obrońcy padli — miasto wydane zostało na rzeź. Wtedy przeor Dominikanów, dawny Hermana druh, wiszący, padł do nóg komturowi, błagając zlitowania nad świątyniami Pańskiemi, nad czcią niewiast, sromotą zagrożonych, nad ludem bezbronnym.

— *Neprest!...* — odpowiedział krótko bezecny wódz krzyżacki — i polała się krew, i popłynął krzyk bezczesnych białogłów i ryk ciał rżniętych.

Straszliwe było ono: *nie rozumiem!* krzyżackie.

Dokonawszy zagłady Sieradza, Herman marszem pośpiesznym połączył się z główną potęgą marszałka, który pomiędzy Radziejowem a Brześciem zatrzymał się na wielkiej równinie pod wsią Płowcami. Łokietek czekał na wrogów. Garść jego rycerzy dziwnie zmalała przed tym ogromem wojsk krzyżackich. Uśmiechnął się marszałek i zwrócił się do Wińcza Szamotulskiego, który na czele zbrojnych szeregów swoich, kompanów, krewniaków i przyjaciół zbliżył się do pana Altenburgskiego.

— Łokciowy król, łokciowe wojsko!... — rzekł z uśmiechem lekceważenia.

— A był czas, kiedy mu się pokłonił i sam Luter Brunszwicki, — Wińcz na to.

— Nie było Ditrycha przy nim — odparł dumnie marszałek.

— Dziś zaś przy Ditrychu jest Wińcz... — dokończył z pychy pan na Szamotułach.

Dwie ambicye zetknęły się z sobą, skrzyżowały się dwie pychy.

Wzrokiem nienawiści zmierzył pan na Altenburgu Wińcza z Szamotuł, lecz się spotkał z nietrwożnem spojrzeniem. Wińcz dobrze wiedział, że jako dawniej był słupem granitowym sił Łokietkowych, dziś jest słupem potęgi krzyżackiej. Odwrócił się Ditrych, odwrócił się Szamotulski i odjechali do obozów swoich.

Działo się to w wigilię przed dniem 27-go września roku pańskiego 1331.

Wieczór był cichy, opary podniosły się z nizin i białym welonem osłoniły dwa obozy przeciwne. Księżyc się w lisią czapkę ubrał i melancholijny cień rzucał na ziemię. Ludzie snuli się jak mary, bo mgła pochłonęła wyrazistość

ich postaci. Czasem się hasła ozwą, broń szczęknie, jakiś okrzyk bezczelny z obozów niemieckich, skierowany ku stanowiskom polskim, przyleci, czasami źrebię zarży — i odpowiedzą im rosłe ogiery niemieckie. Dziwnie w ciszy naszej rozchodzi się ten zwierząt rozhowor, stłumiony oddaleniem, przybity do ziemi mgłą wilgotną.

Król Łokietek przed słońca zachodem przeliczył pułki swoje. Dwadzieścia tysięcy zbrojnego rycerza było — Niemców trzykroć więcej.

I spochmurniało czoło sędziwego monarchy.

Gdy noc zapadła, starszyznę wezwał na naradę. Zebrali się w króla namiocie, stroskani, jako on, niepewni, jako on. Przy wejściu do tej polowej izby pańskiej stał rycerz jakiś i słuchał. Osłaniał go mrok przedsienia, bo blask księżyca, który na ziemię się słał, nie dochodził do stóp stojącego.

— Jako-że myślicie, panowie rada? czy zdzierżym nawałnicę taką? — zaczął król.

Milczenie. Znać nikt ciężaru odpowiedzialności na siebie wziąć nie chciał.

Król podniósł siwy łeb i spojrzał na wodze swoje.

— Zali po tom was wezwał, byście się w „mruczka" zabawili?... Jeszcze się cofnąć czas i wyjść z opałów, zanim się dzień rozwidni... Lecz później co?...

— Co później? — z ust kilku padło pytanie.

— Przed nami potoki krwi, popieliska miast i wiosek i wiara nieszczęsnego ludu w zwycięzki miecz królewski. Ustąpić?... to jedno, co wydać na rzeź pół Polski... Nie sposób!...

— Nie sposób!... — odpowiedzieli doradcy królewscy.

— Więc co?... — znów król zapytał.

Skrzyżowały się spojrzenia, — znać było, że jedna myśl zrodziła się w głowach wszystkich. I oto pierwszy z rajców szepnął:

— Wińcz...

— Wińcz — powtórzył drugi.

— Wińcz — padło z ust trzeciego...

Król potarł czoło i rzekł przeciągle:

— Wińcz!...

Po chwili dodał, jakby na rzucone pytania odpowiadając:

— Azali usłucha?... azali w tej duszy rogatej wzbudzi się żal...

— Spróbować się godzi — rzekł wojewoda krakowski.

— A gdzie jest poseł, któryby odwagę miał wejść w to gniazdo szerszeni, stanąć dumnie i śmiało przed oną Zakonu podporą i rzec: Zgrzeszyłeś przeciwko Bogu, ojczyźnie i królowi. Zmaż grzech, odpokutuj winę, oręż zwrócony przeciwko braciom twoim, pchnij w pierś krzyżacką... Kto pójdzie tam i tak powie?...

Rozsunęła się zasłona i przed obliczem królewskiem stanął mąż rycerski. Pokłonił się do kolan pańskich i rzekł:

— Jam jest!

Był to Jaśko Święca.

Poznał go król odrazu. Zmieniona twarz młodzieńca mówiła o cierpieniach przebytych, o bólach niezapomnianych dotąd.

Jaśko stał przd panem z błagalną prośbą na ustach niemych; znać było, że pałał żądzą ono zaszczytne poselstwo otrzymać.

W twarzy króla znać było wahanie się... Po chwili spytał:

— Znasz Wińcza?...

— Znam ,miłościwy panie, z obelgi, którą mi w twarz rzucił, mówiąc, żem... Święca!...

Zrozumiał król, czy nie zrozumiał myśli, jaką miał Jaśko, lecz głowę uniósł, wpatrzył się w twarz piękną młodzieńca i: „aaa!..." wybiegło z ust pańskich.

W okrzyku tym przyzwolenie było.

Obóz niemiecki spał, mgła gęsta zaległa nizinę, że łatwo było czujne nawet straże ominąć i do samego namiotu pana marszałka podejść.

Świateł nie było, jeno Wińcz Szamotulski nie przytłumił kaganka. Olbrzymia postać byłego pana wielkorządcy odbijała się wyraźnie na białem płótnie namiotu. Na stołku siedział, oparty o miecz i wpółsennemi oczyma przed siebie patrzał.

Jakieś krwawe mary przesuwały się przed duszą zdrajcy; jakieś dzwony żałobne biły w jego głowie potępionej. Zdawało mu się, że z pod jego stóp żelaznych bluzgała krew, krew ziemi jego, że te dzwony są dzwonami popalonych kościołów i biją w miejscowej głowie jego, aż czerep pęka. Nie sposób nóg od tej krwi odjąć, nie sposób zgłuszyć tych dzwonów rozhukanych!... A w głębi oczu jego świeci drwiący i nienawistny uśmiech Ditrycha.

Poruszyła się kotara namiotu — ktoś wszedł...

Wińcz łeb podniósł i zdziwionemi oczyma obwiódł postać rycerza. Nie Niemiec to był, nie Krzyżak to był... Strój polski, rycerski strój przybocznych króla Łokietka żołnierzy. Dzwony umilkły, znikła krew —Wińcz czuje dziwne a dawno już nie słyszane bicie serca.

Rycerz się zbliżył, ruchem powolnym przyłbicę uchylił i spojrzenie o głębi marskiej utkwił we wzroku Szamotulskiego. Młodzieńczą miał twarz, pogodną choć dumną.

— Ktoś jest — zapytał Wińcz...

— Strój mówi za mnie, a dość, że polski jest strój!...

— To mało!...

— Cho — cho!... więcej chcesz, nieco więcej, panie wielkorządco poznański?... Zali nie poznajesz głosu mojego?... a tak prosiłem, byś zapamiętał!...

Szamotulski się pochylił.

— Ty... ty...

— Święca!...

Wińcz drgnął, jakby kto mieczem w pierś jego uderzył... Bez dalszych słów, bez dalszych przypomnień w pamięci jego zarysował się obraz, który go gniótł, męczył i łamał...

Święca!... wnuk zdrajcy, syn zdrajcy... lecz sam nie zdrajca!

Dlaczego przybył tu w tę noc szamotań się jego duszy obłąkanej?... Czy śmiech urągania rzuci mu w twarz? Lecz patrzy spokojnie, wyniośle i dumnie!... Przypomniał obelgę, jaką nań cisnął pamiętnej nocy onej... Taką obelgę zmywa się tylko krwią. Zali uderzy teraz w nieosłoniętą pierś jego — i krzywdę pomści?...

Nie!...

Pas rycerski bez miecza się złoci — przybył bezbronny, dufny jeno swej sile duchowej.

I Wińcz się zachwiał...

— Co tam — co, w obozie króla mojego słychać? — wyszeptał.

— Na ustach jego i na ustach rycerzy płacze się imię Wińcza.

— Zmogą?...

— Gdy przeciw wrogom Polski miecz swój obróci Wińcz.

— Wierzą?...

— Tę wiarę ja mam im zanieść, tą wiarą ja mam ich natchnąć.

Szamotulski trząsł się, a piersią oddychał ciężko, jakby brzemię na sobie miał, które mu barki przytłaczało.

Wyszeptał:

— Król!...

— Czeka na słowa Wińcza.

— A jakże z tobą będzie, z obelgą oną, która się zmywa krwią?

— Morzem popłynie, nim błyśnie świt... Utonie w niej i moja obraza.

Wińcz odpiął miecz i rzekł, Jaśkowi go podając:

— Oto zastaw mój — królowi go zanieś!...

Ujął dłoń Jaśka i długo w dłoni ją trzymał; Jaśko czuł jak drgał każdy nerw, każdy, jak żarem biła czerwona krew tętnicowa...

Święca wyszedł, a Szamotulski na klęczki runął i waląc się w piersi, mówił głosem stłumionym:

— Zmiłuj się nade mną, Boże! podług wielkiego miłosierdzia Twojego. Okropisz mnie, gospodne, hyzopem a oczyszczon będę; omyjesz mnie i nad śnieg wybielon będę. Słuchowi memu dasz radość i wesele — i radować się będą kości uśmierzone. Serce czyste stwórz we mnie, Boże! a duch prawy wznowi się w trzewiech moich.“

Nadszedł pamiętny dzień 27-go września, dzień przeniesienia zwłok świętego Stanisława, patrona Polski i dzień zwycięstwa!

Świtało — może nawet już pierwsze promienie słońca strzeliły na firmament niebieski, ale je wsączyła mgła, której wiatr nie zgonił, święta nie wypiła ziemia.

W obozie polskim ruch, poruszyły się i szeregi krzyżackie. Biskup krakowski objeżdżał hufce polskie i błogosławił w wielkiem ducha podniesieniu. Chwiały się znamiona panów koronnych, — nie było wiatru a płynął szum; pląsały wstęgi proporców, dwadzieścia tysięcy piersi oddychało żądzą boju...

Gdy biskup opuścił szeregi, zabrzmiała pieśń, pieśń świętego Wojciecha — przedwieczna!...

I oto ozwały się trąby, bębny zabełkotały, aż drgnęło serce ziemi... Dwie chmury, dwie burze uderzyły na siebie, tak, jak tylko nienawiść uderzyć może. Słychać trzask kopii, i łomot mieczów i jęk krótki: „Jezus,“ i drugi: „Marya!“... i kośbę śmierci, która szeroko swój żałobny płaszcz rozpuściła. Hufcom mnichów krzyżackich przewodził sam marszałek Zakonu. Z boku pierwszych szeregów pędząc, runął jak burza gradowa na przednie zastępy pułków polskich. Znać było siłę niezmierną i pęd niepohamowany. Nie masz zapory, któraby się ostała przed nim, nie masz muru, któryby się w proch nie rozsypał. Z ubocza sunął Otto z Bonsdorfu, biorąc w dwa ognie garść polskich rycerzy.

Nastąpiło starcie, aż przerażone powietrze klasnęło.

Król patrzył ze wzgórza, a serce mu dygotało od niepokoju i trwogi. Królewic Kazimierz oczy przymknął, w które blady strach zajrzał; nie czekał wyniku zetknięcia się śmiertelnego, umknął z pola — a w tem wał trupów się położył, wał trupów... z polskich rycerzy...

Wtedy się porwie król, on lew stary, w którego żyłach zawrzała krew młodzieńcza.

— Jezus Marya! — z kilkuset piersi zabrzmiało.

— Jezus Marya!... — odkrzyknęło echo lasów.

Na spotkanie króla Łokietka, gnał wielki komtur Otto z Bonsdorfu, rycerz bez trwogi, znany z siły pięści i wielkiej podłości duszy. Nie srom mu, miecz swój otrzeć o miecz królewski, a pewny był tryumfu i chluby, jaką mu ono spotkanie przyniesie...

Trwoga polskich ogarnęła rycerzy, bo Otto silny a król był stary. Lecz się rozszalał siwy lew — i, w czapce książęcej, jarzącej się czerwienią, z brodą mleczną, na wiatr rozwianą, z okiem iskrzącem, i z brwią zmarszczoną groźnie — gnał na straszliwego przeciwnika spotkanie. Obłok kurzu w chwost gwiazdy komecianej się rozwinął, ziemia drży, tętni, dudni — a oni pędzą, jak dwa żywioły zniszczenia.

Zwarli się — dyszące źrebce stanęły dęba.

Otto w strzemionach się uniósł, oburącz chwycił miecz —i z siłą przepotężną grzmotnął nim w czaszkę królewską...

Dziwo!... miecz odbił się, odskoczył, aż komtur uczuł ból w stawach...

To silna dłoń Jaśka pochwyciła cięcie śmiertelne, to na jego miecz upadł miecz krzyżacki.

Król był uratowany.

W tem coś zakotłowało w zwycięskich szeregach niemieckich wojsk. Jakiś krzyk, groza i zamęt i strach!

To runął Wińcz Szamotulski; na karki krzyżackie pioruny spadły.

Popłoch!...

Łamią się szeregi, jak słupy dębów walą się rycerze w stal okuci.

Lecz nikogo nie żywi już, pragnący pomsty, miecz polski...

Wiatr rozwiał mgły — jedno krwi morze, jeden wał trupów!...

Ucierają się gdzie niegdzie rozbite kupki Krzyżaków, lecz bój już skończony, wiekopomny, zwycięski bój!...

Czterdzieści tysięcy łbów krzyżackich zaległo płowczańską równinę; „pięćdziesięciu najznakomitszych rycerzy Zakonu, pomiędzy nimi sam wódz naczelny, marszałek Ditrych z Altenburga, wielki komtur Otto z Bonsdorfu, komtur elbląski Herman, komtur gdański Albert i wielu innych dostojników dostało się do niewoli...“

Król otarł czoło uznojone i objeżdżać zaczął szeregi poległych. Konające oczy witały uśmiechem zwycięskiego króla, cichły jęki, gdy pan przyjeżdżał.

Oto szlachcic pewien operuje przy żywocie rozprutym. Jelita mu wypłynęły, a on je do wnętrza pcha, i zęby zaciął, by król nadjeżdżający bólu jego nie widział, jęku nie słyszał. Trzy włócznie trzewia mu przebiły, trzema strugami płynęła krew.

— Jako-że ten człowiek cierpieć musi — ozwie się król.

Gorzej boli od języka niż od miecza, najjaśniejszy panie... Uwolnij mnie od złego sąsiada, a żywot sam się wygoi.

Król ze zdziwieniem spojrzał na mówiącego.

— Ktoś jest, któremu mniej ta rana doskwiera niż sąsiad zły?...

— Floryan Szary, herbu Koźle Rogi.

— Trzy włócznie ci dodaję do herbu — a „Jelita“ niech nazwą klejnotu twojego będą... A któż jest ten człek niegodny, na którego się skarżysz?

— Jacek Wilczodolski, miłościwy panie!...

— Nie będzie sąsiadem twoim!... a że zbój jest, słyszałem coś nie coś o nim od Święcy...

— Nachyl swą rękę, miłościwy panie, niech ucałuję twą dłoń królewską.

Zajęli się wnet medykowie królewscy rycerzem rannym, który, palcami przytrzymywał jelita wypływające i szeptał:

— Trzy włócznie, trzy włócznie!... Spełniła się wróżba starej Sokuli — nie dziw-li to?...

Król w otoczeniu wojewodów swoich, objeżdżał dalej pobojowisko. W wiktoryi onej widział palec Boży, który sprawiedliwy jest, aczkolwiek nie rychliwy.

Mijając wzgórze niewielkie, rzadkim jałowcem obrośnięte, dojrzał kilkuset rycerzy krzyżackich, jeńców wo-

jennych, przerażonemi oczyma patrzących na zbliżającego się króla. Komtur Herman stał przy nich.

— Co to są za truposze? — spytał.

— Zwycięzcy z pod Sieradza — padła odpowiedź.

Oczy Łokietka zaszły krwią, wargi zadrżały. Przypomniał okrutną rzeź miasta, błaganie o litość Dominikanów przeora i oną bezecną odpowiedź krzyżacką:

— *Neprest!*

— Śmierć im! — w uniesieniu gniewu zawołał król.

Przez szereg mężów, nieznających strachu, przepłynął jęk trwogi... A wtedy hardy komtur Herman rzucił się do stóp królewskich — i krzyknął:

— Litości, zmiłowania dla bezbronnych!...

— Nie rozumiem!... — przez zaciśnięte usta starego króla wypłynęło...

I poszli wszyscy pod miecz, ocalał tylko Ditrych marszałek... Znalazł się tam i ksiądz Johan, lecz ten w przerażeniu sam się obwiesił na wierzbie suchej.

Szamotulski przed panem się kajał i nie odmówił mu pan swej łaski. Po ciepło słów królewskich przychodzili zasłużeni mężowie w tym boju krwawym, przychodzili po złoto łask i nagród — lecz pośród nich nie było Jaśka Święcy. Król go szukać rozkazał; — wżdy to jego miecz odbił cios krwawy Ottona z Bonsdorfu, wżdy to on matce ojczyźnie powrócił Wińcza Szamotulskiego. Lecz próżno szukano go pomiędzy żywymi i umarłymi — Jaśka nie było. Ten i ów jednak widział go po boju skończonym, jak na wzgórzu stał, kurzawą i krwią okryty, i długo, długo na króla swojego patrzał. A potem zdmuchnął go wichr jakiś...

Minęło wiele lat.

Pod kamiennym sarkofagiem spoczął na Wawelu król Łokietek, złota korona Piastów błysnęła na czole Kazimierza. O Jaśku Święcy zaginął ślad wszelki... Aż oto zjawił się pątnik pewien, z Rzymu wracający, i przyniósł wieść dziwną.

W jednym z klasztorów ziemi italskiej pojawił się mąż obcy, przybyły z krainy dalekiej. Suknię zakonną na siebie wziął, później święcenie kapłańskie i stał się dobroczyńcą ludzi i pocieszycielem strapionych dusz. Podczas odpustu pewnego, gdy zmordowany słuchaniem grzechów ludzkich, miał wyjść z konfesyonału — zbliżył się mąż jakiś i zażądał spowiedzi. Zakonnik pochylił się i nastawił ucha.

Po pierwszych już słowach grzesznika śmiertelną bladością pokryło się czoło kapłana. Nie człek w konfesyonale lecz trup siedział. Pokutnik czekał wyroku: męki piekieł lub szczęście niebios, miał ten mnich w ustach swoich. Chwila oczekiwania wiecznością się zdawała. Przerażenie odmalowało się w twarzy spowiadającego się męża, gdy wzrok podniósł i spojrzał na księdza. A wtedy ten się pochylił — i słowy drżącemi rzucił mu dar łaski i przebaczenia.

Spowiednikiem był Jaśko Święca, spowiadającym się — Wolffram.

Koniec.

Pielęgnujmy duszę dziecka.

(*Obrazek z życia*).

Pan Władysław, skromny urzędnik w Poznaniu, jest człowiekiem jak to mówią o „wyższych aspiracyach.“

Wtłoczony nielitościwą ręką losu w ciasne ramy skromnej karyery urzędniczej a wszechmocną potęgą miłości wprzężony w jarzmo małżeńskich i rodzinnych obowiązków idealista nasz powoli pozbywał się niektórych wykwintnych nawyknień kawalerskich jako to abonamentu wytworniejszych pism peryodycznych, uczęszczania na wyborowe koncerty, palenia drogich cygar i t. p. „pasyi,“ jak je nazywała pani Władysławowa.

Jedna mu tylko z tych „pasyi“ pozostała: namiętne zamiłowanie natury i wysoko rozwinięty umysł estetyczny.

W wolnych godzinach odbywał jak dawniej, za kawalerskich czasów dalekie przechadzki w piękne okolice Poznania, których bogata roślinność i fauna[1]) dostarczały mu obfitego materyału do obserwacyi i nowych odkryć.

Towarzyszami pana Władysława były jego dzieci dziesięcioletni Staś i dwunastoletnia Marynia. Ogromnie dzieci lubiły te przechadzki z tatusiem, który z niezmordowanym zapałem zapuszczał się w najgęstsze zarośla, wyszukiwał owady, ślimaki, rzadkie i piękne gąsienice, to znów zwracał dzieciom uwagę na cudowną inteligencyę i pracowitość mrówek, to zachwycał się wspólnie z niemi zwinną jaszczureczką o wesołych oczkach i pięknie ubarwionej skórze, to kazał im słuchać i rozróżniać głosy ptaków.

Schwytawszy delikatnie jakiego chrząszczyka lub ślimaka pan Władysław pokazywał i objaśniał dzieciom dokładnie budowę ich ciała i właściwości gatunku, potem puszczał zwierzątka na wolność, piękniejsze zaś okazy zabijał szybko zalewając odpowiednim płynem i ostrożnie chował do blaszanej puszki Stasia.

Tak samo postępował z roślinami z kwiatów polnych dzieci robiły pyszne bukiety.

Po takiej wycieczce wracała nasza trójka bardzo rozradowana, pan Władysław zaś obok przyjemności własnej miał tę błogą pewność, że przechadzka taka więcej przynosi dzieciom pożytku, niż lekcya w szkole. Nadto dzieci poznawały polskie nazwy zwierząt i roślin, które pan Władysław dopóty powtarzał, dopóki dzieci nie nauczyły się ich na pewno.

Inne były przechadzki z mamą. Pani Władysławowa, osoba dosyć powabna, ale pospolitego umysłu i niewykształcona, zupełnie nie rozumie upodobań męża, nazywa je manją, dziwactwem, oryginalnością. Ubrawszy dzieci starannie i elegancko w „niedzielne“ sukienki, pilnie czuwała, aby ich nie zbrudziły dotykaniem roślin i zwierząt.

Niedzielna zatem przechadzka państwa Władysławostwa byłaby niczem więcej, jak zwykłym banalnym spacerem mieszczuchów, którym nie tyle chodzi o rozkoszowanie się pięknością natury i ożywczemi wrażeniami, jakie daje pobyt w lesie lub wśród łąk w czasie sianożęcia — lecz jedynie o bezmyślne gapiostwo i pogawędkę z tym i owym znajomym.

Ale pan Władysław nawet takie spacery umiał zużytkować. Nie chcąc drażnić żony, nie zapuszczał się z dziećmi w zarośla, tak niebezpieczne dla niedzielnych sukienek, nie chwytał „robaków,“ lecz starał się zająć Stasia i Marynię opowiadaniem o ciekawych własnościach zwierząt, recytował im niektóre dowcipne bajki Krasickiego i Naruszewicza, do których jeszcze dodawał własne pomysły — i tak łącząc piękne z pożytecznem pielęgnował w duszach dziecięcych zamiłowanie przyrody, litość dla zwierząt, podziw i uwielbienie dla Twórcy tych cudów.

Szczęśliwe dzieci, które mają rodziców umiejących pielęgnować ich dusze!

M. G.



[1]) Świat zwierzęcy.